POLITYKA

Ważą się losy Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Co dalej z dzieckiem PiS?

STR. 6–7



FOT. ADAM JANKOWSKI

SPORTOWY24

Polska piłka nożna od minionego piątku jest pogrążona w żałobie

STR. 21



dziś SPORTOWY24

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 13.04.2026
Nr 30 (2541)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682



FOT. PAP/EPA

Czy Viktor Orbán odda władzę?

Te wybory elektryzują nie tylko Węgrów, ale polskich polityków, Unię Europejską, a nawet Stany Zjednoczone. Dzień głosowania poprzedziła bardzo ostra kampania wyborcza STR. 3,4

ŚWIAT

Rozmowy na linii USA-Iran zakończyły się na razie fiaskiem

STR. 5

ZDROWIE

Wizyta u proktologa to żaden wstyd – tłumaczy lekarz

STR. 8

RELIGIA

Co Jan Paweł II mówił w rzymskiej synagodze?

STR. 10

ROZMOWA

Traumy kładą się cieniem na całym życiu rodzinnym

STR. 12

eprasa.pl 1f08a8ac7c

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W piątek **magazyn Puls**

Po wyborach na Węgrzech: niezależnie od ich wyniku będzie to lekcja dla wszystkich rządów w Europie, a nawet w Stanach Zjednoczonych



Arlena Sokalska
redaktor naczelna „Polski"

SKOMPLIKOWANE WYBORY WĘGRÓW

Frekwencja w wyborach na Węgrzech robi wrażenie – podobnie jak w Polsce w 2023 roku ludzi stoją w kolejkach, zwłaszcza w dużych miastach. Czy to wystarczy, by odsunąć od władzy Viktor Orbána? Niekoniecznie. Przewaga Tiszy Petera Magyara musiałaby być miażdżąca, a wcale tak być nie musi – bo system wyborczy, zmieniony przez Fidesz promuje głosy oddane nie w wielkich miastach, gdzie żyje bardziej liberalny elektorat, ale na węgierskiej prowincji. Dodajmy biednej.

Na Węgrzech – zupełnie inaczej niż w Polsce – wieś i małe miasteczka nie zmieniły się po wstąpieniu tego kraju do Unii Europejskiej. Głównie przez korupcję. Orbán i jego ludzie zbudowali na Węgrzech coś na kształt autorytaryzmu. „Węgry stały się krajem niedemokratycznym, quasi-autorytarnym, gdzie mamy władzę jednej partii, a opozycja jest bezsilna i nieobecna w mediach. Udało mu się zdemontować węgierską praworządność, rozbić wolne media, dziś nie ma tam realnego pluralizmu medialnego. Praktycznie ludzie mieszkający poza Budapesztem albo ci, którzy nie korzystają z internetu, nie są w stanie dotrzeć do innego przekazu niż przekaz władzy. Udało mu się też podporządkować wszystkie instytucje państwowe, łącznie z fundacjami zarządzającymi szkołami wyższymi i szkołami średnimi w kraju, co w państwie demokratycznym jest przecież absurdem" – mówi Michał Zabłocki, ekspert od polityki węgierskiej.

Podobne rzeczy działy się w Polsce podczas rządów Zjednoczonej Prawicy, ale przez osiem lat nie udało się tych zmian przeprowadzić aż tak głęboko, jak Orbánowi na Węgrzech. Przy czym to, jak ciężko jest w kraju demokratycznym „odgruzować" takie zmiany, pokazuje choćby sytuacja w polskim wymiarze sprawiedliwości. Jeśli więc wybory wygra Tisza Peter Magyar będzie miał ręce pełne roboty. A i tak nie będzie gwarancji, czy za cztery lata Orbán nie wróci.

Niemniej jednak, byłoby lepiej dla Polski i dla Unii Europejskiej, gdyby Orbán musiał oddać władzę. Przypominam tylko, że to on blokuje m.in. wypłatę ok. 450 mln euro z Europejskiego Funduszu Pokojowego dla Polski, za sprzęt wojskowy przekazany Ukrainie.

Jesteśmy w samym środku historii. Polityka nabrała w Polsce, Europie i świecie tego szekspirowskiego wymiaru: „być albo nie być, oto jest pytanie", przed którym stoją narody, politycy, przywódcy

Premier Donald Tusk podczs Rady Krajowej KO

INTENSYWNE ROLNICTWO NISZCZY ŚRODOWISKO



Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

Wiele się mówi o tym, że przemysł, a zwłaszcza energetyka, niszczą nam środowisko naturalne. Jest to oczywiście prawda i ograniczanie negatywnych skutków rozwoju techniki jest ważnym zadaniem dla współczesnych inżynierów. Ale wydaje się, że owi krytycy techniki zapominają, jak bardzo negatywny wpływ na środowisko ma także współczesne rolnictwo.

Dążąc do uzyskania maksymalnych plonów stosuje się obficie chemizację. Obliczono, że na świecie rocznie rozsiewa się 200 mln ton nawozów sztucznych. Te nawozy to głównie sole silnych kwasów: azotowego, fosforowego i siarkowego. Zasilają one rośliny, ale niszczą żywe istoty znajdujące się w glebie i odgrywające ważną rolę w jej odtwarzaniu. W jednym z opracowań czytałem, że w jednej łyżce gleby jest więcej żywych organizmów niż ludzi na Ziemi. Nie wiem, sam tego nie liczyłem, więc przyjmuję to dość sensacyjne stwierdzenie na wiarę. Ale sprawdziłem w publikacjach, że w jednym kilogramie gleby jest 75 tys. gatunków bakterii, 25 tys. gatunków grzybów, tysiąc gatunków pierwotniaków i kilkaset gatunków nicieni. To ogromny „zwierzyniec" mikrobiologiczny, który pomaga roślinom pozyskiwać z gleby produkty rozkładu wcześniej rosnących roślin.

Większe podziemne stworzenia też są bardzo przydatne. Obliczono, że na 1 ha przypada 3,5 mln. dżdżownic. Służą one nie tylko do tego, żeby rybacy mieli co nasadzić na haczyk przy połowie ryb, ale przerabiają one na tym hektarze 37 ton gleby, czyniąc ją bardziej użyteczną dla roślin!

Wszystkie te organizmy zostają zabite przy nadmiernym stosowaniu nawozów sztucznych, w wyniku czego gleba jałowieje.

Masakry fauny glebowej dokończają pestycydy. Wysiewa się ich rocznie na świecie ponad 4 miliony ton. Mają one zabijać szkodliwe organizmy niszczące plony. Robią to, ale spływając wraz w wodą deszczową w głąb gleby zabijają tam także wszystko, co napotkają. Z łatwym do przewidzenia skutkiem!

Innym szkodliwym (dla środowiska) trendem współczesnego rolnictwa jest stosowanie monokultur. Zamiast na określonym polu uprawiać każdego roku inne płody rolne jak to z dobrym skutkiem robiono przez setki lat – stosuje się uprawę raz po raz tych samych roślin. Decyduje opłacalność!

Zdegradowana gleba nie pochłania już wody, która zamiast wsiąkać i poić korzenie roślin spływa po powierzchni przy okazji zmiatając także do rzek i mórz sztuczne nawozy i pestycydy. Gleba zamiast pochłaniać gazy cieplarniane – sama emituje do atmosfery CO_2 oraz N_2O (ten ostatni jest gazem cieplarnianym 144 razy gorszym od CO_2).

Nie chcę, żeby ten felieton był odczytany jako oskarżenie rolników. Rolnictwo przemysłowe jest prowadzone przez ludzi odpowiedzialnych i dobrze wykształconych, więc dbają oni o środowisko bardziej, niż większość obywateli. Mówi się o rolnictwie precyzyjnym, w którym dokonywana jest dokładna ocena stanu dosłownie każdego kawałka gleby i stosowane jest podlewanie oraz chemizacja ściśle dopasowane do lokalnych – bardzo zmiennych potrzeb. Na każdym metrze! Miejmy nadzieję, że to będzie rozwiązanie.

Cofnąć się bowiem nie możemy. Bez rolnictwa przemysłowego ziemia może wyżywić najwyżej 2 miliardy ludzi (na całym świecie) – a tymczasem liczba ludzi przekroczyła już 8 miliardów i nadal rośnie...

WYJŚCIE NA KONCERT JAK UDZIAL W EKSPERYMENCIE WIĘZIENNYM



Agaton Koziński
zastępca redaktor naczelnej

Przychodzi klient do restauracji i pyta: - Czy jest schabowy? – Nie ma – odpowiada kelner. – Mielony? – pyta dalej. – Też nie – słyszy odpowiedź. – A może chociaż pierogi? – zamawia. – Skończyły się – odpowiada arogancko kelner. Klient nie wytrzymuje: - Panie, a co można dostać? – krzyczy.
- W mordę – odpowiada kelner.

Trochę przypadkowo trafiłem na koncert zespołu Archive na warszawskim Torwarze. Bardziej towarzysko niż z zamiłowania. Archive to nie do końca moje brzmienia, choć koncertowo wypadli świetnie, do tego stopnia, że ich muzyka rządziła u mnie w aucie przez dwa dni. Przypomniałem sobie, że muzyka na żywo to jednak zupełnie inny świat niż słuchanie jej z głośników.

Długo koncerty byłym punktem obowiązkowym w moim rozkładzie życia. Potem wydoroślałem (czy raczej się zestarzałem) i one spadły w hierarchii priorytetów. Nie byłem na koncercie dobrych parę lat. Aż pojawił się Archive. I jak muzyka mnie pozytywnie zaskoczyła, tak cała otoczka przypominała klimat z dowcipu z początku.

W skrócie: każdy widz był traktowany jako podejrzany, w związku z tym obsługa była arogancka na granicy agresywności. Czuć było, że sytuacja rodzi o nich potrzebę władzy - a widzowie pełnili rolę podwładnych, których traktuje się z buta. Gdyby jeszcze była mowa o nieprzewidywalnych dwudziestolatkach. Ale średnia wieku na koncercie przekraczała pięćdziesiątkę. Czy po takich ludziach można się spodziewać czegoś niespodziewanego? Nie sądzę. Tego nie dało się powiedzieć o ochronie. Działali jak kelner w ustroju dawno minionym.

Tylko w PRL restauracje były tanie. Koncerty są drogie - najtańszy bilet na Archive to 170 zł. W zamian popis arogancji i zadufania ze strony ochrony i obsługi. Rozumiem, że oni wiedzą, że mają monopol - jak chcę obejrzeć Archive, to muszę przez nich przejść. Prawa rynku w przypadku gwiazd działają słabo, wiadomo, że ten rynek to monopoliści. Ale za ten monopol płacę w cenie biletu. Można by oczekiwać, że za te pieniądze organizatorzy wymuszą na obsłudze powstrzymanie w sobie żądzy władzy i kontroli. Nic takiego się nie dzieje. Pewnie ciekawy temat do badań socjologicznych, trochę na tej zasadzie słynnego eksperymentu więziennego Philipa Zimbardo. Ale na koncerty chodzi się dla rozrywki, nie by być świadkiem eksperymentu społecznego. Wyszło jednak zupełnie inaczej.

eprasa.pl 1f08a8ac7c

Orban czy Magyar? Przesądzi węgierska prowincja

Te często niewielkie społeczności, a nie Budapeszt, decydują o wyniku wyborów. Tak bowiem zbudowany jest system wyborczy. Jako że okręgów wiejskich jest więcej i mają one średnio mniej wyborców, głosy w nich oddane mają większą wagę w przeliczeniu na mandat niż głosy oddane w miastach

Grzegorz Kuczyński



FOT. PAP/EPA

Oficjalne i całkowite wyniki wyborów na Węgrzech mogą zostać ogłoszone nawet pod koniec przyszłego tygodnia

Jest jasne, że frekwencja w węgierskich wyborach będzie rekordowa – o godzinie 15 wyniosła 66,01 proc. - wynika z danych węgierskiego Narodowego Biura Wyborczego (NVI). W poprzednich wyborach w 2022 r. końcowa frekwencja wyniosła 69,59 proc.

W większości niezależnych sondaży publikowanych przed wyborami opozycyjna Tisza Petera Magyara wyprzedzała Fidesz premiera Viktora Orbana .

Rządzący Fidesz może jednak liczyć na sprzyjający mu system wyborczy, a być może także na mobilizację swoich wyborców na ostatnim etapie kampanii. Kluczowe dla losów wyborów mogą okazać się wyniki w kilkunastu okręgach jednomandatowych, gdzie obie główne siły mają w sondażach zbliżone poparcie.

Jak Węgrzy wybierają posłów?

Węgry mają jednoizbowy parlament, który wybierany jest na czteroletnią kadencję. Obowiązuje mieszany system wyborczy (większościowo-proporcjonalny).

Zgromadzenie Narodowe (Orszaggyules) liczy 199 posłów: 106 wybieranych w jednomandatowych okręgach wyborczych 93 wybieranych z krajowych list partyjnych. W każdym okręgu wygrywa ten, kto zdobędzie najwięcej głosów, nawet bez uzyskania większości ponad 50 proc. (inaczej, niż np. we Francji). Z kolei w przypadku krajowych list partyjnych pula mandatów dzielona jest proporcjonalnie, na podstawie łącznego wyniku danej listy w skali kraju, między listy, które osiągną próg: 5 proc. dla partii, 10 proc. dla koalicji dwóch partii, 15 proc. dla koalicji trzech lub więcej ugrupowań.

System wyborczy pisany pod Fidesz

Ważnym elementem węgierskiego systemu wyborczego jest tzw. mechanizm kompensacyjny, który jeszcze bardziej komplikuje proces wyłaniania członków parlamentu. Na czym on polega? Ugrupowania otrzymują na listach krajowych dodatkowe głosy z poszczególnych okręgów jednomandatowych w liczbie równej przewadze zwycięskiego kandydata nad kandydatem, który zajął drugie miejsce. To oznacza, że im więcej wygranych okręgów, tym lepszy wynik listy krajowej.

Chociaż mechanizm ten ma na celu zmniejszenie dysproporcji, w praktyce sprzyja partiom dominującym, zwłaszcza jeśli wygrywają w wielu okręgach z dużą przewagą.

W 2011 roku premier Viktor Orban dokonał zmian w systemie wyborczym, zmniejszając liczebność parlamentu z 386 do 199 deputowanych oraz dzieląc kraj na nowe okręgi wyborcze. Do kolejnej nowelizacji prawa wyborczego doszło w 2024 roku, kiedy zmniejszono liczbę okręgów w tradycyjnie bardziej liberalnym Budapeszcie z 18 do 16, a zwiększono w bastionie Fideszu, komitacie Peszt - z 12 do 14. Okręgi wyraźnie różnią się wielkością. Duże znajdują się w bastionach opozycji, a mniejsze w regionach, które tradycyjnie wspierają rządzący Fidesz. Generalnie, więcej mandatów przypada na okręgi wiejskie, tradycyjnie zdominowane przez Fidesz.

W wyborach w 2014, 2018 i 2022 r. rządząca koalicja Fideszu i Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Ludowej (KDNP) zdobywała znacznie więcej niż połowę mandatów pochodzących z jednomandatowych okręgów. To efekt sprzyjającego rządzącym podziału na okręgi oraz faktu, że węgierska prowincja charakteryzuje się tym, że jest zamieszkiwana przez osoby starsze, a jej mieszkańcy mają niższe średnie dochody, przez co w większej mierze polegają na wsparciu państwa.

Prowincja głosuje na Fidesz

Wiejskie obszary są bastionem Orbana i mają kluczowe znaczenie dla wyniku wyborów. Siła premiera zawsze wynikała z poparcia w mniejszych, bardziej konserwatywnych miasteczkach i wsiach. Jego popularność w tych rejonach pozostaje wysoka, a zwolennicy podkreślają jego charyzmę, nieustępliwość wobec Brukseli oraz obronę węgierskich wartości chrześcijańsko-konserwatywnych i suwerenności narodowej – zwłaszcza w odniesieniu do Ukrainy.

Billboardy z wizerunkiem prezydenta Ukrainy są obecnie powszechnym widokiem w węgierskim krajobrazie, co symbolizuje strategię wyborczą Fideszu: nacisk na politykę zagraniczną, wojnę i konflikt. Z Magyara próbuje się robić marionetkę Zełenskiego. Orban zaś przedstawia się jako globalny gracz polityczny, mający bezpośredni dostęp do takich postaci jak Donald Trump, Putin i Netanjahu, oraz zdolny do obrony suwerenności Węgier przed presją zewnętrzną.

Zdając sobie sprawę ze znaczenia walki o głosy w mniejszych ośrodkach, lider opozycji Peter Magyar odwiedzał w miesiącach poprzedzających głosowanie miasteczka i wsie. Przewodniczący Tiszy walczył tam o poparcie, krytykując jakość usług publicznych, stan szpitali czy dróg oraz korupcję rządzących. Jego priorytet jest prosty, ale praktyczny: gospodarka. Poprzednie kampanie opozycji zbyt mocno skupiały się na ideach, które przemawiały do mieszkańców Budapesztu, ale nie trafiały do wyborców z obszarów wiejskich, którzy stanowią znacznie większą część społeczeństwa. Wydaje się, że Magyar wyciągnął wnioski. Unikał w kampanii akcentów liberalnych światopoglądowo, kwestii Ukrainy i wojny starał się unikać, koncentrował się na konkretach, szczególnie w obszarze gospodarki i walki z korupcją.

Przesłanie Magyara do mieszkańców wsi bezpośrednio odnosi się do frustracji wynikającej z mizernego od lat na Węgrzech wzrostu gospodarczego, na którym i tak mieszkańcy wsi korzystają najmniej. Lider opozycji obiecuje większy wzrost gospodarczy i większą odpowiedzialność w zarządzaniu państwem. Sytuacja nie jest jednak prosta: choć wiele osób na prowincji pragnie wyższych dochodów i lepszych warunków życia, grająca na emocjach kampania Orbana nadal budzi duży oddźwięk.

Kiedy poznamy wyniki?

Na Węgrzech nie publikuje się ogólnokrajowych sondaży exit poll. Wyniki wyborów nie zostaną też opublikowane w powyborczą noc. Ujawnione zostaną wówczas jedynie wstępne dane z okręgów jednomandatowych i dane z listy krajowej.

Później spłyną głosy z zagranicy (tradycyjnie w zdecydowanej większości przypadają one Fideszowi) - do głosowania poza krajem zarejestrowała się rekordowa liczba ponad 90 tys. osób. Głosy oddane za granicą muszą trafić do kraju, gdzie zostaną podliczone, najpóźniej szóstego dnia po głosowaniu.

Przy wyrównanym wyniku wyborów, na ich ogłoszenie Węgry mogą więc poczekać w najgorszym razie nawet blisko tydzień.

REKLAMA 0111470601



eprasa.pl 1f08a8ac7c

Polska
Poniedziałek, 13.04.2026

WAŻĄ SIĘ LOSY ZIOBRY I ROMANOWSKIEGO

Wybory na Węgrzech są ważne nie tylko dla samych Węgrów i UE. Dwaj politycy byłej Solidarnej Polski mocno trzymają kciuki za Wiktora Orbana, bo to udzielił im azylu politycznego . Tymczasem Peter Magyar, lider TISZY, „przestępców ukrywać nie zamierza"

Dorota Kowalska

W ostatni weekend politycy PiS tłumnie ruszyli na Węgry. Organizatorem wyprawy był poseł Michał Wójcik, były wiceminister sprawiedliwości. Wsparcie Wiktora Orbana to jedno. Dawni członkowie Solidarnej Polski spotkali się też ze swoim liderem, byłym ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobro, który jest poszukiwany listem gończym i ma na Węgrzech azyl polityczny.

- Jadę tam, żeby obserwować wybory, żeby być tam wspólnie z braćmi Węgrami - mówił Mariusz Gosek w rozmowie z Wirtualną Polską. Inny polityk dodał: - Modlimy się za Fidesz, modlimy się za Orbana.

Poseł Michał Wójcik wrzucił zresztą do sieci swoje zdjęcie z Budapesztu. „Wspieramy Victora Orbana" – napisał krótko.

Na fotografii widać również Marię Kurowską i Jana Kanthaka, pozujących przed pomnikiem Memento Smoleńsk.

– To była bardzo dobra wizyta. Złożyliśmy kwiaty przed pomnikiem Memento Smoleńsk, gdzie akurat był burmistrz tej części Budapesztu, i parlamentarzyści, samorządowcy węgierscy, a także przedstawiciele polskich stowarzyszeń. Bardzo życzliwie nas wszyscy przyjęli – relacjonował w rozmowie z PAP poseł Wójcik. Przyznał również, że doszło do spotkania ze Zbigniewem Ziobrą.

– To była dobra rozmowa – stwierdził. Jak dodał, tematu potencjalnej przyszłości Ziobry w przypadku, gdyby wybory wygrała TISZA, politycy nie omawiali.

Według Wójcika na Węgrzech „walka będzie trwała do końca o każdego wyborcę", a pokazywane w Polce sondaże są „absolutnie przesadne".

Wizytę posłów PiS w Budapeszcie ostro skrytykował rzecznik rządu Adam Szłapka.

– To jest kompromitujące – stwierdził w TVN24. – Po tych wszystkich informacjach, które pojawiają się w przestrzeni publicznej o takiej wiernopoddańczej polityce Orbana wobec Putina i oferowaniu mu różnych usług politycznych (...). Na to wszystko mówi Jarosław Kaczyński, że: okej, oni są uzależnieni od Rosji, robią sobie interesy. I dla niego to jest w porządku. Nie ma na to parlamentarnych słów – stwierdził.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Marcin Romanowski już zadomowił się w Budapeszcie, działa na zapleczu węgierskiego rządu



FOT. ADAM JANKOWSKI

Zbigniew Ziobro ma nadzieję, że mimo wszystko wybory wygra Orban

Ale też wybory na Węgrzech dla polityków, zwłaszcza Solidarnej Polski, są ważne z wielu powodów. Peter Magyar, lider TISZY, zapowiedział ekstradycję Ziobry Romanowskiego, jeśli wygra wybory.

- Jeśli po utworzeniu rządu przez partię TISZA nadal będą na Węgrzech, dokonamy ekstradycji już pierwszego dnia - powiedział Magyar. - Myślę, że polecą do Mińska albo do Moskwy. Na pokładzie samolotu może być też ktoś jeszcze - dodał.

Już w styczniu biuro prasowe opozycyjnej partii zapewniało, że po ewentualnym zwycięstwie wyborczym nie będzie udzielać schronienia ani azylu zagranicznym przestępcom. Zapowiedź ta została odebrana jako jasny sygnał zmiany kursu w polityce wewnętrznej i zagranicznej Węgier.

- Naprawimy relacje z Polską, nie pozwolimy ukrywać się przestępcom - zapowiedziała Anita Orban, polityczka związana z liderem opozycji Peterem Magyarem, która chce kierować węgierską dyplomacją po możliwym zwycięstwie TISZY. - Należymy do Zachodu i położymy kres polityce państwa wahadłowego. Wyraźnie i definitywnie zakotwiczymy Węgry w zachodnim systemie sojuszniczym i będziemy to wzmacniać. Jednym ze sposobów będzie ożywienie i naprawienie tysiącletniej przyjaźni węgiersko-polskiej, przezwyciężając wszystkie szkody ostatnich lat. Wzmocnimy przyjaźń z Polską i będzie to fundamentem współpracy wyszehradzkiej - dodała Anita Orban.

Zbigniew Ziobro natychmiast zareagował na te słowa, w mediach społecznościowych zamieścił wpis po węgiersku. Zwrócił się w nim bezpośrednio do lidera węgierskiej opozycji Petera Magyara.

„Węgry nie ukrywają „poszukiwanych przestępców", lecz chronią osoby prześladowane przez przestępców. Ani ja, ani minister Marcin Romanowski nigdy nie popełniliśmy żadnego przestępstwa i nie zostaliśmy skazani za nic" - napisał były minister sprawiedliwości.

Krytykował, nie po raz pierwszy zresztą, rząd Donalda Tuska.

„Panie Magyar, dla Węgier problemem nie jestem ja, lecz ludzie tacy jak pan i Donald Tusk – ludzie, którzy ulegają interesom zewnętrznym i kierują swoimi krajami, tak aby podporządkowały się Brukseli" - dodał prawicowy polityk.

W sobotę, a więc w dzień przed wyborami na Węgrzech, w rozmowie z Polską Agencją Prasową były minister sprawiedliwości publicznie wsparł Viktora Orbana. Zaznaczył, że stawka głosowania jest wysoka, a wynik może przesądzić o kierunku zmian w Unii Europejskiej.

- Wierzę, że Węgrzy, którzy już wiedzą, czym skończyła się dla Polaków zmiana władzy na prounijnego Donalda Tuska, jak szybko Polacy odczuli „unijne konkrety" w swoich kieszeniach, nie dadzą się na to nabrać - stwierdził Ziobro.

Jak dodał, wierzy także, iż „podczas wyborów w niedzielę zwycięży rozsądek i miłość do kraju, a nie do unijnego mirażu". Ziobro ocenił, że w przypadku wygranej Orbana Unia nie zrealizuje projektów, które uznaje za niebezpieczne także dla Polski. - Orban zapowiedział, że jeśli wygra wybory, wszystkie te plany, groźne także dla Polaków, zablokuje - wskazał.

Przejęcie władzy przez Pétera Magyara, zdaniem Ziobry, otworzyłoby Brukseli drogę do „przebudowy UE w jedno scentralizowane państwo".

Były szef MS lidera TISZY określił mianem „unijnego pupila" i tłumaczył przy tym prorosyjskie usposobienie obecnego węgierskiego rządu.

- Bruksela doskonale wie, że weto premiera Węgier to jedyne, co stoi na przeszkodzie UE. Dlatego tak się go obawia i tak wściekle atakuje, zarzucając mu, że wspiera zbrodniarza Putina. A Orban po prostu chroni interesy Węgier - ocenił.

Politykę Budapesztu wobec Moskwy wyjaśniał kwestiami bezpieczeństwa energetycznego.

- Gdyby Rosja uniemożliwiła dostawę energii Węgrom, ich gospodarka zamieniłaby się na kilka lat w ciemną i zimną pustynię - powiedział.

Jak dodał, odbudowa trwałaby ok. pięciu lat i kosztowałaby „kilkadziesiąt mld euro".

- Orban ocenia, że Węgry nie mają wyjścia, dlatego uznaje, że węgierską racją stanu w takiej sytuacji jest konieczność utrzymywania relacji z Rosją - mówił.

Ziobro odwołał się także do niedawnej wizyty wiceprezydenta USA J.D. Vance'a w Budapeszcie. Według niego administracja amerykańska docenia stanowisko Orbana „w obronie tradycyjnych wartości, sprzeciw wobec najazdu imigrantów oraz wobec stopniowej likwidacji państw narodowych w Europie".

Cóż, dla Ziobry i Romanowskiego wybory na Węgrzech to ich być albo nie być. Orban jest dla obu panów gwarantem utrzymania azylu.

Pod koniec listopada ubiegłego roku śledczy postawili Ziobrze kilkanaście zarzutów, w tym te kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, nadużycia stanowiska i ingerencji w konkursy o środki z Funduszu Sprawiedliwości. Ziobro miał popełnić 26 przestępstw.

Były minister sprawiedliwości schronił się na Węgrzech, gdzie przebywał Marcin Romanowski, jego były zastępca i jeden z najbliższych współpracowników. Prokuratorzy już wcześniej postawili mu zarzuty w związku z defraudacją pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości.

Romanowski zdążył się na Węgrzech zadomowić. Jak wynika z ustaleń OKO.press objął funkcję dyrektora Węgiersko-Polskiego Instytutu Wolności. Instytucja ta działa przy Centrum Praw Podstawowych w Budapeszcie – think tanku uznawanym za część zaplecza politycznego rządu premiera Węgier Viktora Orbana.

Organizacja odwołuje się do konserwatywnego hasła „Bóg, Ojczyzna, Rodzina", a jej działalność ma podłoże medialne, polityczne i prawne. Według portalu jest ona finansowana ze środków publicznych i pełni rolę platformy współpracy między węgierskimi władzami a środowiskami związanymi z Donaldem Trumpem.

Jak wynika z publikacji OKO.press, Romanowski nie ogranicza się tylko do obowiązków biurowych. Były wiceminister ma publikować analizy, prowadzić newsletter oraz komentować sytuację polityczną w Polsce w mediach sprzyjających węgierskiemu rządowi.

Portal podaje, że Romanowski występuje w węgierskiej telewizji publicznej oraz publikuje teksty w dzienniku „Magyar Nemzet". W swoich wypowiedziach krytykuje polski rząd i przedstawia jego działania jako motywowane politycznie i mające na celu atakowanie konserwatystów.

Widać wyraźnie, że obaj panowie postawili na jedną kartę. Więc dla nich wybory na Węgrzech mają również wymiar osobisty.

eprasa.pl 1f08a8ac7c

Karolina Wrońska

Fiasko rozmów z Iranem na temat pokoju

– Nie doszliśmy do porozumienia z Iranem, bo Iran postanowił nie zaakceptować naszych warunków – powiedział wiceprezydent USA J.D. Vance po 21 godzinach rozmów z irańską delegacją w Islamabadzie. Kilka godzin później prezydent USA Donald Trump nakazał blokadę statków próbujących wpłynąć do Cieśniny Ormuz lub ją opuścić. Amerykanie będą ścigać statki, które zapłaciły Iranowi za możliwość przepłynięcia przeprawy

Zła wiadomość jest taka, że nie osiągnęliśmy porozumienia. I myślę, że to zła wiadomość dla Iranu znacznie bardziej niż dla Stanów Zjednoczonych - powiedział Vance podczas konferencji prasowej. - Jasno określiliśmy nasze czerwone linie, w jakich kwestiach jesteśmy gotowi im się przychylić, a w jakich nie, i wyjaśniliśmy to tak jasno, jak to tylko możliwe, a oni postanowili nie zaakceptować naszych warunków - dodał.

Vance zaznaczył, że głównym postulatem USA jest to, by Iran wyrzekł się możliwości posiadania broni jądrowej.

- Prostym faktem jest, że musimy zobaczyć stanowcze zobowiązanie, że nie będą dążyć do broni jądrowej i nie będą szukać narzędzi, które umożliwiłyby im szybkie jej uzyskanie. To jest główny cel Stanów Zjednoczonych i to właśnie staraliśmy się osiągnąć poprzez te negocjacje - powiedział wiceprezydent USA. Zaznaczył, że dotąd nie widział po stronie Iranu woli całkowitego wyrzeczenia się ambicji nuklearnych.

- Wychodzimy stąd z bardzo prostą propozycją, metodą zrozumienia, że jest to nasza ostateczna i najlepsza oferta. Zobaczymy, czy Irańczycy ją przyjmą - zakończył.

Rozmowy pokojowe USA i Iranu w Islamabadzie rozpoczęły się w sobotę po południu. Władze Pakistanu były mediatorem w negocjacjach, które zaczęły się od osobnych spotkań premiera tego kraju Shehbaza Sharifa z delegacjami Iranu i USA. Vance chwalił pakistańskich gospodarzy, zaznaczając, że nie ponoszą żadnej winy za ich fiasko.

Kilka godzin później Donald Trump zapowiedział blokadę cieśniny Ormuz. Ogłosił, że marynarka wojenna USA w trybie natychmiastowym zacznie blokować statki, zamierzające wpłynąć do Cieśniny Ormuz i będzie usuwać umieszczone tam irańskie miny. Dodał, że każdy Irańczyk, który zaatakuje Amerykanów, zostanie „wystrzelony do piekła”.„Ze skutkiem natychmiastowym Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych, najlepsza na świecie, rozpocznie proces BLOKOWANIA wszystkich statków próbujących wpłynąć do Cieśniny Ormuz lub ją opuścić” - ogłosił Trump we wpisie na swoim portalu społecznościowym Truth Social. „W pewnym momencie osiągniemy zasadę »WSZYSTKICH WPUSZCZAMY, WSZYSTKICH WYPUSZCZAMY«, ale Iran nie dopuścił do tego, mówiąc jedynie: »Gdzieś tam może być mina«, o której nikt poza nim nie wie” - dodał. Mówiąc o fiasku sobotnich ponad 20-godzinnych rozmów w Pakistanie z Iranem, Trump ocenił, że choć wiele kwestii zostało uzgodnionych, a rozmowy miały przyjazny ton, Iran nie wykazał woli wyzbycia się ambicji jądrowej, co było najważniejszym problemem.

„Wszystkie te punkty nie mają znaczenia w porównaniu z pozostawieniem energii jądrowej w rękach tak niestabilnych, trudnych i nieprzewidywalnych ludzi” - powiedział prezydent USA.



FOT. PAP/EPA.

Rozmowy pokojowe USA i Iranu w Islamabadzie rozpoczęły się w sobotę po południu

PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY FUNDACJI ZIEMIA I LUDZIE 0011346478

PRAWDZIWE HISTORIE CZYSTEGO POWIETRZA

Czyste Powietrze Jest OK

Gminy walczą o czyste powietrze

Kowal to niewielkie, liczące ok. 3200 mieszkańców miasto w woj. kujawsko-pomorskim – jedna z najmniejszych pod względem obszaru gmin w Polsce. Prężnie działający tu samorząd postawił na ekologię i wsparcie mieszkańców w wymianie przestarzałych/nieefektywnych źródeł ciepła. – Jako jedna z pierwszych gmin w województwie podpisaliśmy porozumienie z Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Toruniu na obsługę programu Czyste Powietrze, by pomagać naszym mieszkańcom – mówi burmistrz Eugeniusz Gołembiewski.

UWAGA, KONKURS!

Jesteś beneficjentem Czystego Powietrza?
Podziel się z nami swoją prawdziwą historią i przekonaj innych do inwestycji w zdrowie i ciepło.
Wejdź na czystepowietrzejestok.pl

Co miesiąc do wygrania hulajnoga elektryczna!

Najpierw jednak próbowali ustalić skalę problemu. Kiedy powstała Centralna Ewidencja Emisyjności Budynków, właściciele i administratorzy zostali zobowiązani do wypełnienia deklaracji w tej sprawie. Kowalski samorząd uzyskał od mieszkańców 100 proc. takich deklaracji. Wtedy okazało się, że na 1100 gospodarstw domowych 70 proc. ogrzewanych było kopciuchami. Urzędnicy postanowili to jak najszybciej to zmienić.

Edukacja najskuteczniejsza

Przekonywali mieszkańców do skorzystania z programu Czyste Powietrze przez akcje edukacyjne na festynach i innych imprezach plenerowych oraz przez artykuły w lokalnej prasie. Miasto zainstalowało także dwie stacje monitorujące, by mieszkańcy zobaczyli, jak zmienia się jakość powietrza w zależności od pory roku. Dane publikują na stronie internetowej miasta.
Stacje pokazują też, jaka jest różnica w zanieczyszczeniu powietrza między tą częścią Kowala, w której przeważa liczba kopciuchów, i tą w której kopciuchów już prawie nie ma.

Akcje okazały się bardzo skuteczne i pokazały, jak duże jest zainteresowanie mieszkańców takiej gminy jak Kowal programem – do tej pory na ok. 850 właścicieli prywatnych kotłowni (bo część budynków ma charakter wielorodzinny) aż 369 złożyło wnioski o dofinansowanie. Zawarto 336 umów i już zrealizowano 193 przedsięwzięcia. Łącznie do mieszkańców popłynęło ponad 6 mln zł dotacji.

Jeśli nie kopciuch, to co?

Ponieważ w Kowalu, po wielu latach starań, udało się rozpocząć budowę gazociągu, większość chętnych wymieniała kopciuch na kotły gazowe. Ta opcja była tu najwygodniejsza. W obecnej edycji programu Czyste Powietrze piece na paliwo gazowe nie są już dofinansowywane.



– Z uwagi na zwartą zabudowę miasta, większość mieszkańców decydując się na termomodernizację i zmianę źródła ciepła przy wsparciu z Czystego Powietrza, wybiera obecnie kocioł na pellet – wyjaśnia burmistrz. Do wyboru są też kotły zgazowujące drewno, pompy ciepła, ogrzewanie elektryczne, a w gminach, gdzie jest to możliwe, podłączenie do miejskiej sieci ciepłowniczej.

Kowal chlubi się zielenią i czystym powietrzem

Miasto jest dumne ze swojej urody, tutejsza zieleń była kilkakrotnie prezentowana jako wzorzec na ogólnopolskich konferencjach samorządowych oraz w programach telewizyjnych.
– Staramy się być samorządem pod każdym względem ekologicznym. 100 proc. gospodarstw domowych w naszej gminie jest podłączonych do kanalizacji sanitarnej. Jeszcze przed wdrożeniem przepisów 100 proc. naszych mieszkańców miało podpisane umowy na odbiór odpadów. Zlikwidowaliśmy też kopciuchy we wszystkich budynkach samorządowych – mówi burmistrz Eugeniusz Gołembiewski.
Kowal jest operatorem nowego programu Czyste Powietrze. Zadaniem gminy, która podjęła się funkcji operatora, jest pomoc beneficjentom na wszystkich etapach – od wstępnych konsultacji, po końcowe rozliczenie inwestycji.
Listę gminnych punktów konsultacyjnych i operatorów programu znaleźć można na stronie czystepowietrze.gov.pl.

Dotacja czeka na chętnych

Kto może wystąpić o dotację?
Właściciele i współwłaściciele jednorodzinnych domów mieszkalnych lub lokali mieszkalnych wydzielonych w budynkach jednorodzinnych mających wyodrębnioną księgę wieczystą.

Na co bezzwrotne dofinasowanie?
- Wymiana kopciucha na paliwo stałe na nowe, efektywne i ekologiczne źródło ciepła – pompę ciepła, ogrzewanie elektryczne, kocioł na biomasę (pellet drzewny czy zgazowujący drewno kawałkowe) oraz na podłączenie do miejskiej sieci ciepłowniczej.
- Modernizacja lub wykonanie instalacji grzewczej – instalacja centralnego ogrzewania oraz instalacja ciepłej wody użytkowej (w tym kolektory słoneczne do c.w.u. i pompa ciepła do samej c.w.u.).
- Niezbędne prace towarzyszące przy instalacji c.o. i c.w.u.
- Ocieplenie przegród budynku.
- Wymiana okien i drzwi zewnętrznych oraz bram garażowych.
- Zakup rekuperacji, czyli wentylacji mechanicznej z odzyskiem ciepła.
- Ocena stanu energetycznego domu i wskazanie najlepszego rozwiązania. W nowym programie obowiązkowe są audyt energetyczny i dokument podsumowujący audyt energetyczny oraz – już po zakończeniu inwestycji – świadectwo charakterystyki energetycznej.

Fundacja Ziemia i Ludzie

czyste powietrze zdrowy wybór

NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ŚRODOWISKA i GOSPODARKI WODNEJ

Niniejszy materiał został dofinansowany ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Za jego treść odpowiada wyłącznie Fundacja Ziemia i Ludzie.

eprasa.pl 1f08a8ac7c

Polska
Poniedziałek, 13.04.2026

CENTRALNE BIURO ANTYKORUPCYJNE. CO DALEJ Z DZIECKIEM PIS?

Ważą się losy Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Ustawa likwidująca CBA wróci do Sejmu, który pewnie - być może jeszcze w tym tygodniu - zaakceptuje poprawki wprowadzone przez Senat. Potem trafi na biurko prezydenta Nawrockiego. Ten ustawę zawetuje. W takim razie, co dalej z CBA?

Dorota Kowalska

Senat wniósł właśnie poprawki do ustawy likwidującej od 1 października Centralne Biuro Antykorupcyjne. Teraz ustawa wróci do Sejmu. - Służba ta stała się symbolem nieprawidłowości i działań motywowanych politycznie. Był to proces, który zaczął się głośną aferą gruntową i działaniami wymierzonymi celowo w ważnych polityków opozycji. Towarzyszyły temu też różne skandale, takie jak kradzież pieniędzy z funduszu operacyjnego. Ale kwintesencją problemów, z którymi zmagała się ta służba, jest kwestia nielegalnej inwigilacji przy użyciu środka nieprzeznaczonego do kontroli operacyjnej, mianowicie Pegasusa – mówił Radosław Kujawa, zastępca ministra koordynatora służb specjalnych Tomasza Siemoniaka prosząc o poparcie przygotowanych przez rząd rozwiązań.

Przypomniał, że w kontekście Pegasusa chodzi o nieprawidłowości w wielu obszarach. Pierwszy z nich to sam zakup systemu szpiegowskiego. Kolejny to nieprawidłowości w działaniach operacyjnych.

Jeszcze na etapie sejmowym ustawa podzieliła scenę polityczną. Za uchwaleniem przepisów likwidujących CBA opowiedziały się kluby zrzeszone w koalicji rządowej – KO, PSL-TD, Lewica, Polska2050 i Centrum. Przeciwko byli posłowie Prawa i Sprawiedliwości oraz koła Razem. Politycy Konfederacji wstrzymali się od głosu oceniając, że ustawę i tak czeka weto ze strony prezydenta.

I pewnie trzeba się go spodziewać.

- Likwidacja CBA była waszym marzeniem. Ale już dzisiaj mogę państwu powiedzieć, że to marzenie będzie płonne. Nic z tego nie będzie – mówił szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki.

Przypomniał, że po zmianach w 1989 roku korupcja była koszmarem, zmorą i toczyła polskie państwo niczym śmiertelna choroba.

– I udało się powołać Centralne Biuro Antykorupcyjne, i dzisiaj Polska ma zdecydowanie mniejszy problem z korupcją. To dzisiaj nie jest główny problem Polski, ale ja rozumiem, chcecie ten problem wskrzesić – tłumaczy Bogucki.

Tymczasem ustawa o koordynacji działań antykorupcyjnych oraz o likwidacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego zakłada likwidację tej służby od 1 października 2026 roku i przeniesienie ciężaru walki z korupcją na inne wyspecjalizowane w tym zakresie instytucje – ABW, KAS, SKW oraz policję.

Ustawa wyznacza zasady ochrony antykorupcyjnej, którą można obejmować „przedsięwzięcia cechujące się zwiększonym ryzykiem wystąpienia korupcji lub działań godzących w interesy ekonomiczne państwa". Za koordynację działań antykorupcyjnych ma, w myśl nowych przepisów, odpowiadać premier poprzez ministra koordynatora służb specjalnych

Koalicja rządząca od początku zakładała likwidację CBA. Był to zresztą jeden z punktów umowy koalicyjnych, jaką podpisali liderzy partii tworzących większość w nowym Sejmie.

- Jeżeli chodzi o CBA, jeżeli chodzi o IPN uważam, że te instytucje powinny być zlikwidowane – mówił tuż po wyborach Włodzimierz Czarzast, obecny marszałek Sejmu. - Trzeba się przyjrzeć temu od środka, ja bym likwidował - dodał.

W podobnym tonie wypowiadał się Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy i wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej.

- Ono zostało tak krańcowo upolitycznione - i widzieliśmy to w tych ostatnich latach, że właściwie tylko i wyłącznie wykonywało policyjne zamówienie - że trudno sobie co innego wyobrazić - tłumaczył.

Te zapowiedzi wzbudziły reakcję polityków Zjednoczonej Prawicy, dla których CBA to młot na skorumpowanych polityków i urzędników wszystkich szczebli.

- Likwidacja CBA, przewidziana w umowie koalicyjnej KO, Trzeciej Drogi i Lewicy, spowoduje realne szkody w państwie; zarzuty o upolitycznieniu i upartyjnieniu CBA są bałamutne i mają utorować drogę do likwidacji tej służby - ocenił ówczesny zastępca ministra koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn. - To jest postulat bardzo szkodliwy dla CBA oczywiście, ale przede wszystkim dla państwa polskiego. Nie mam cienia wątpliwości, że likwidacja takiej służby jak CBA spowoduje realne szkody w naszym państwie – dodał.

W jego opinii przeniesienie części funkcjonariuszy czy spraw do innych służb nie zrekompensuje strat, które wynikną z likwidacji CBA.

Na uwagę, że główne zarzuty przywoływane przez polityków tych partii dotyczą upolitycznienia czy upartyjnienia służby, Żaryn odparł, że „to są zarzuty bałamutne".

- To jest narracja, która po prostu jest próbą manipulowania tym obrazem CBA, jest próbą pokazania fałszywego obrazu CBA po to, żeby można było utorować sobie drogę do zlikwidowania tej służby. Mamy do czynienia ze służbą, która działa profesjonalnie, bez względu na polityczne uwarunkowania czy polityczne powiązania osób podejrzanych - zapewnił.

Ale opinia opozycji nie zniechęciła polityków koalicji rządzącej. W Monitorze Polskim pojawiło się „Zarządzenie w sprawie Międzyresortowego Zespołu do spraw Opracowania Koncepcji oraz Przygotowania Procesu Likwidacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego."

Zespół, jak można było przeczytać w dokumencie, miał być „organem pomocniczym Prezesa Rady Ministrów". Do jego zadań należało opracowanie koncepcji i przygotowanie procesu likwidacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego.

Minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak zapowiedział, że nic nie będzie się działo bez wiedzy społeczeństwa, a projekt likwidacji CBA zostanie przedstawiony w Sejmie i Senacie.

- Chcemy go przeprowadzić w bardzo rzetelny sposób. Najpierw konsultacje międzyresortowe, potem Sejm, Senat i też chcemy wejść w dialog z prezydentem, by swym podpisem taką decyzję wsparł. Chcemy też opinii publicznej pokazać, że walka z korupcją będzie lepiej zorganizowana niż w tej chwili, że wola likwidacji CBA to nie jest rezygnacja z walki, ale jedynie że państwo chce ją lepiej zorganizować włączając w to policję, ABW i Krajową Administrację Skarbową - mówił Siemoniak w Radiu Wrocław.

Dodał, że „nikt nie założył rąk i czeka na likwidację", CBA cały czas działa.

I stało się - ustawa była procedowana parlamencie, za chwilę trafi na biurko prezydenta Nawrockiego.

A że politykom koalicji rządzącej CBA źle się kojarzy, nikogo nie powinno dziwić. Ostatnio o Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, było głośno głównie z powodu afery Pegasusa, o której wspomniał minister Kujawa.

Przypomnijmy, 15 września 2017 roku na posiedzeniu sejmowej komisji finansów publicznych jej członkowie zajęli się, między innymi „zaopiniowaniem wniosku ministra sprawiedliwości w sprawie zmian w planie finansowym Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej na 2017 rok". Dzięki tym zmianom CBA miało dostać 25 mln zł na zakup Pegasusa. Posłowie nie wiedzieli jednak, że chodzi o system szpiegowski. Wniosek na komisji przedstawiał wiceminister sprawiedliwości Michał Woś.

Politycy Zjednoczonej Prawicy cały czas podkreślają jednak, że służby na każde użycie metod kontroli operacyjnej w Polsce uzyskują zgodę sądu. Tyle tylko, że we wniosku do sądu o zgodę na kontrolę nie podaje się rodzaju sprzętu, którego chce się użyć. Wydając zgodę na inwigilację, sądy nie wiedzą i nie żądają podania, czy ktoś będzie podsłuchiwany Pegasusem czy innym sprzętem służącym do kontroli operacyjnej. Wielu prawników, ale też byłych oficerów służb specjalnych podkreśla także, że w ustawowych granicach kontroli operacyjnej nie mieści się wykorzystywanie oprogramowania Pegasus. Pegasus jest bowiem narzędziem szpiegowskim umożliwiającym totalną kontrolę nad zainfekowanym urządzeniem, przejmuje właściwie całą jego zawartości: zdjęcia, nagrania wideo, e-maile, SMS-y, listę kontaktów. Pegasus śledzeni lokację smartforna, nagrywa jego otoczenie w wersji audio oraz wideo, podsłuchuje szyfrowaną transmisji dźwięku oraz odczytuje zaszyfrowane wiadomości z różnorodnych aplikacji na urządzeniu. Umożliwia nieograniczone śledzenie w czasie rzeczywistym lokacji aparatu w czasie prowadzonej kontroli, pozwala też na zainfekowanie telefonu oprogramowaniem inwazyjnym.

Jest też dużo poważniejsza sprawa: Pegasusem - czego dowiodła między innymi komisja śledcza powołana w Sejmie do wyjaśnienia tej sprawy - inwigilowani byli nie tylko przestępcy, ale politycy, także podczas trwania kampanii wyborczej, oraz osoby niewygodne dla ówczesnej władzy.

Kiedy afera ujrzała światło dzienne, „The Washington Post" pokusił się o porównanie sytuacji w Polsce do afery Watergate, która zakończyła prezydenturę Richarda Nixona.

Cóż, Centralne Biuro Antykorupcyjne, służba stosunkowo młoda, jest na pewno tą, w której sporo się działo. W kwietniu 2021 roku w mediach pojawiła się dość sensacyjna informacja: z kasy biura wyprowadzono kilka milionów złotych. Pracę stracili szefowie pionu finansowego i bezpieczeństwa wewnętrznego. Do dymisji miał się podać ówczesny szef CBA Ernest Bejda, lecz nie została ona przyjęta. Jak okazało się później, pracownica CBA, kasjerka, przez dwa lata regularnie kradła z kasy CBA pieniądze, w sumie ponad 9 mln złotych. Jej mąż obstawiał za nie zakłady bukmacherskie. Oboje usłyszeli już wyroki.

Wiadomo, że im ciszej o służbach tym lepiej dla nich – to stara zasada, której przestrzegają ich szefowie, a przynajmniej powinni przestrzegać. Tyle tylko, że o CBA, właściwie od momentu jego powstania, mówiło się dużo i nie zawsze dobrze.

Cofnijmy się więc trochę w czasie. Centralne Biuro Antykorupcyjne powstało w 2006 roku jako „służba specjalna państwa polskiego, urząd do spraw zwalczania korupcji w życiu publicznym i gospodarczym, w szczególności w instytucjach państwowych i samorządowych, a także do zwalczania działalności godzącej w interesy ekonomiczne państwa". Na czele biura stanął Mariusz Kamiński. Kiedy pytaliśmy, kto wpadł na pomysł powołania takiej jednostki, usłyszeliśmy, że właściwie Kamiński i Ludwik Dorn.

- Mariusz mówił o tym jeszcze za czasów AWS - wspominał Adam Lipiński, polityk Prawa i Sprawiedliwości.

W Sejmie III kadencji Ludwik Dorn zgłosił nawet projekt powołania takiego superorganu państwowego. Sami wybrańcy, urzędnicy mieli obstawić wszystkie kluczowe pozycje w państwie, a żeby nie byli podatni na korupcję, mieli dostać luksusowe samochody, mieszkania służbowe w eleganckich dzielnicach i superpensję. Projekt roboczo nazwano projektem „400 sprawiedliwych".

Pytanie, czy powołanie Biura miało w ogóle sens, skoro walką z korupcją zajmowała się policja?

- W powszechnej opinii nie do końca zajmowała się korupcją w sposób właściwy. Trzeba pamiętać, że zwłaszcza w małych miejscowościach istnieją pewne lokalne uzależnienia, wręcz sitwy, więc istniał opór mentalny przed walką z korupcją – mówił mi swego czasu Paweł Wojtunik, były szef CBA. - Na całym zresztą świecie jest trend, aby powoływać służby antykorupcyjne. Problem w tym, że w Polsce ta służba powstała w wyniku pewnej idei politycznej. Pierwszym jej szefem był były polityk, który wrócił zresztą potem do polityki. Tak nie powinno być. Biuro powinno być uniezależnione od władzy i jeśli na świecie rozmawia się o służbach antykorupcyjnych, to jako jej negatywny przykład podaje się właśnie początki CBA w naszym kraju - tłumaczył Wojtunik.

Centralne Biuro Antykorupcyjne za czasów pierwszych w nim rządów Mariusza Kamińskiego to była twierdza nie do zdobycia. W każdym razie legendy krążą o tym, jak prześwietlano pocztę, zanim trafiła na biurko szefa, czy interesantów. Wystarczy powiedzieć, że normą było wyciąganie wszystkiego z kieszeni, ba, nawet pasków ze spodni podczas wchodzenia do biura.

Agenci pracowali z rozmachem. Efekt? Wielkie nazwiska

eprasa.pl 1f08a8ac7c



FOT. ADAM JANKOWSKI

Dr Słupik: Trump porusza się z gracją słonia w składzie porcelany, co często budzi osłupienie i zdziwienie

i ciężkie oskarżenia. Weronika Marczuk - oskarżona o korupcję. Posłanka Beata Sawicka - oskarżona o korupcję. Znany kardiochirurg Mirosław G. - oskarżony o korupcję, a nawet o zabójstwo. Małżeństwo Kwaśniewskich - podejrzane o ukrywanie majątku pochodzącego z nielegalnych źródeł.

W tle słynny agent Tomek - potem poseł Tomasz Kaczmarek - kokietujący, wręczający łapówki, odgrywający role bogatego biznesmena albo czułego kochanka. Wszyscy zacierali ręce i czekali na sądowe wyroki.

W II instancji posłanka Sawicka została jednak uniewinniona. Wyrok, jak podkreślał sędzia, zwalniał ją z odpowiedzialności karnej, ale nie moralnej, bo ta, co prawda, przyjęła łapówkę, ale - zdaniem sądu - dowody zostały zebrane nielegalnie.

Ale praca agentów CBA za czasów, kiedy kierował nimi Mariusz Kamiński, do dziś wzbudza emocje. Spektakularne zatrzymania, pokazowe konferencje prasowe. Tyle tylko, że tak naprawdę niewiele z tego zostało. Weronikę Marczuk, podobnie jak Sawicką, sąd uznał za osobę niewinną, kardiologa oskarżonego przez ministra Ziobrę o zabójstwo sąd z tego zarzutu i wielu innych zwolnił. CBA nie udało się też udowodnić niczego małżeństwu Kwaśniewskich, chociaż bardzo się o to starało. Pewnie sukcesy też były, ale to, co pozostało w świadomości społecznej po starym CBA, to - bardziej niż procesy i wyroki - styl pracy jego agentów: walizki pełne pieniędzy, romantyczne kolacje, drogie samochody, sponsorowane wakacje, prezenty - sidła zastawiane na swoje ofiary. Jak orzekł potem sąd: zastawiane nielegalnie, w sposób nieuprawniony. Ale pokusa była duża - spore pieniądze przyznane CBA, parcie na wynik, wreszcie swoboda działania. Wiele lat później o metodach pracy w tej służbie opowiadał skruszony agent Tomek. Ci, którzy mu wierzą, mówią krótko: patologia.

- Jeszcze zanim zostałem ministrem, mówiłem, że jeśli nie było dowodów na popełnianie lub gotowość popełnienia przestępstw korupcyjnych, to nie powinno być sprawy ani wyroku skazującego. Inaczej policja chodziłaby po urzędach i próbowała korumpować urzędników. To by było niedopuszczalne - mówił mi jakiś czas temu prof. Zbigniew Ćwiąkalski, były minister sprawiedliwości.

Polski system prawny nie zna wprawdzie „teorii owoców zatrutego drzewa", inaczej mówiąc - zakazu używania w procesie karnym dowodów zdobytych nielegalnie, ale obowiązuje zasada swobodnej oceny dowodów przez sąd. A ten może nie uznać, tak jak to zrobił w sprawie Sawickiej, dowodów, które - jego zdaniem - zostały zdobyte niezgodnie z prawem.

Metody pracy CBA szybko wzbudziły kontrowersje: głośno zaczęło się mówić o naginaniu prawa przez funkcjonariuszy biura, a 6 października 2009 roku prokurator Prokuratury Okręgowej w Rzeszowie przedstawił Mariuszowi Kamieńskiemu i Maciejowi Wąsikowi, jego zastępcy, zarzuty m.in. przekroczenia uprawnień i popełnienia przestępstw przeciwko wiarygodności dokumentów w związku z tzw. aferą gruntową, która była doprowadziła do rozpadu rządzącej wówczas koalicji Prawa i Sprawiedliwości, Ligi Polskich Rodzin oraz Samoobrony Rzeczypospolitej Polskiej. Kamiński stracił stanowisko.

W marcu 2015 został przez sąd I instancji uznany za winnego przekroczenia uprawnień i nieprawomocnie skazany na karę 3 lat pozbawienia wolności. Przed uprawomocnieniem się tego orzeczenia, 16 listopada 2015 roku, prezydent Andrzej Duda zastosował wobec Mariusza Kamińskiego prawo łaski. Ale w 2023 roku panowie Wąsik i Kamiński zostali skazani za swoje czyny prawomocnym wyrokiem. Prezydent musiał ułaskawić ich ponownie.

Kiedy w 2009 roku szefem biura został Paweł Wojtunik, mocno się uspokoiło. Wojtunik rzadko udzielał wywiadów, nie organizował konferencji prasowych, nie było mowy o zatrzymaniach w światłach kamer. Biuro pracowało spokojnie, bez rozgłosu.

- Biuro przeszło proces reorganizacji, wynikiem czego jest m.in. duże ograniczenie stanowisk kierowniczych oraz stworzenie bardziej efektywnej i sprawnej struktury. Biuro otworzyło się też na świat zewnętrzny, na inne instytucje, w szczególności policję i inne służby specjalne. Współpracujemy ze służbami zagranicznymi, na co pozwala nam znowelizowana ustawa o CBA - mówił ówczesny rzecznik Biura Jacek Dobrzyński.

W Biurze pracowało 766 funkcjonariuszy i 114 pracowników cywilnych. Jedna trzecia zatrudnionych osób to były kobiety. Śledztwa prowadzone przez Biuro najczęściej dotyczyły administracji samorządowej, a w dalszej kolejności: sektora gospodarczego, służby zdrowia i farmacji, administracji centralnej, terenowej administracji samorządowej oraz programów unijnych. Niektóre sprawy to naprawdę waga ciężka. Agenci Biura stwierdzili działania niezgodne z prawem w zamówieniach publicznych związanych m.in. z budową i wdrożeniem Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców, modyfikacją systemów informatycznych dla policji czy przy zakupie usług i sprzętu teleinformatycznego dla Ministerstwa Sprawiedliwości. W innym śledztwie dotyczącym korupcji wśród podejrzanych znaleźli się marszałek województwa podkarpackiego i były zastępca komendanta powiatowego policji w Jarosławiu.

Ale jak mówili w Biurze, korupcja w Polsce ewoluuje.

- Polacy się zmienili. Są bardziej nowocześni, dużo podróżują, są świadomi swoich praw. Inna rzecz, że dzisiaj przeciętnego Polaka stać na zapłacenie mandatu. Więc oblicze korupcji na pewno się zmieniło. Zmieniły się jej jakość i charakter. Coraz rzadziej mamy do czynienia z taką ordynarną korupcją, nazwałbym ją kopertową. Powoli wychodzi z mody dawanie w ramach łapówek niskich kwot w gotówce. Częściej to na przykład dobrze płatna praca, fikcyjne umowy-zlecenia lub propozycja zostania czyimś doradcą. Amerykanie nazwali to zjawisko korupcją zakonspirowaną, bo to „układ" wielopoziomowy, bardzo inteligentny - tłumaczył Paweł Wojtunik.

To, co z pewnością zmieniło się na korzyść, to społeczna świadomość korupcji i reakcja ludzi na jej przejawy. Rosła liczba sygnałów o potencjalnych przypadkach korupcji nadsyłanych do CBA. Jednak kierownictwo narzekało na budżet Biura pozostający od kilku lat na podobnym poziomie i pozwalający jedynie na bieżące funkcjonowanie. W Warszawie jednostki CBA rozlokowane były w dwóch obiektach, z czego jeden był wynajmowany. Biura nie było stać na to, żeby powstały delegatury we wszystkich miastach wojewódzkich, np. w kujawsko-pomorskim. Agenci mieli ponoć fatalne warunki pracy, niektórzy siedzieli w adaptowanych piwnicach.

Kiedy w 2015 roku Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory parlamentarne, nowa premier Beata Szydło odwołała Pawła Wojtunika i powierzyła pełnienie obowiązków szefa CBA Ernestowi Bejdzie. Wojtunik sam zresztą złożył rezygnację. Jak mówił, powodem było wszczęcie przez ABW postępowania kontrolnego, dotyczącego jego rozmowy z byłą wicepremier, minister rozwoju regionalnego Elżbietą Bieńkowską, nagraną w czerwcu 2014 roku w warszawskiej restauracji.

Tłumaczył, że decyzja tego typu powoduje automatyczne odsunięcie od wszelkiego rodzaju informacji o charakterze niejawnym.

- Dalsze moje tkwienie na stanowisku, bez dostępu do informacji niejawnych, które stanowią 99 proc. materiałów rozpatrywanych przez CBA, byłoby farsą, fikcją, więc jako oficer podjąłem taką decyzję - tłumaczył.

Do gry znowu wrócił Mariusz Kamieński, który został koordynatorem rządu do spraw służb specjalnych, także Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Wojtunik popadł w kłopoty, ale też albo CBA albo Mariusz Kamiński co rusz składali do prokuratury zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przez niego kolejnych przestępstw. Sam Wojtunik wielokrotnie mówił o nagonce na niego i jego rodzinę.

Jak CBA działało przez ostatnie osiem lat? Kiedy pojawiły się pierwsze informacje o planach jego likwidacji, Stanisław Żaryn, ówczesny zastępca ministra koordynatora przytoczył dane z ostatnich lat działań CBA. Jak wyliczał, „od 2016 roku dzięki pracy CBA udało się zgromadzić dowody, które spowodowały postawienie zarzutów ponad 5 300 podejrzanym. Na podstawie śledztw CBA doszło do sformułowania ponad 630 aktów oskarżenia, a samo CBA wykryło nieprawidłowości i przestępstwa, które skutkowały uszczupleniem Skarbu Państwa na kwotę ponad 18 mld złotych". Nie mówił o niesłusznie oskarżanych, wystawionych na publicznych lincz, skrzywdzonych przez służbę, która miała ich chronić. Słowem nie wspomniał o Pegasusie.

Teraz ustawa likwidująca CBA wróci do Sejmu, który pewnie zaakceptuje poprawki wprowadzone przez Senat. Potem trafi na biurko prezydenta Nawrockiego. Ten ustawę zawetuje. W takim razie, co dalej z CBA?

REKLAMA 0111461412



eprasa.pl 1f08a8ac7c

Polska
Poniedziałek, 13.04.2026

LEKARZ OD TEMATÓW TABU: SŁYSZĄ, ŻE „JAK SWĘDZI, TO TRZEBA SIĘ UMYĆ, IM CZYŚCIEJ, TYM LEPIEJ". A TO BŁĄD

Wstyd, odkładanie wizyty „na później", leczenie na własną rękę i dopiero na końcu decyzja o konsultacji ze specjalistą. Taki scenariusz powtarza się w gabinetach proktologicznych w całej Polsce. – Przychodzą dopiero wtedy, kiedy jest dramat – przyznaje dr n. med. Łukasz Gmerek, proktolog

Sylwia Rycharska

Największy sprzymierzeniec choroby? Dr Łukasz Gmerek, proktolog, dyrektor do spraw lecznictwa i ordynator oddziału wielospecjalistycznego w Szpitalu Św. Wojciecha w Poznaniu, twierdzi, że to wstyd.

– To on jest głównym powodem, dla którego pacjenci trafiają do nas późno, I myślę, że najbardziej wstydzą się mężczyźni. Dla nich to jest bardzo krępujące, żeby zgłosić się z problemem okolicy kanału odbytu – mówi. – Kobiety też mają opory, ale zdecydowanie mniejsze. Mężczyźni często przychodzą dopiero w ostatecznym momencie, kiedy, jak ja to mówię, jest już dramat – dodaje.

Ten „dramat" ma bardzo konkretny wymiar: silny ból, nasilone krwawienia i duży dyskomfort, który utrudnia codzienne funkcjonowanie.

Krew, która straszy

Najczęstszym objawem, który powinien skłonić do wizyty u specjalisty, jest krew.

– Pacjenci widzą krew i pierwsze, co robią, to biorą smartfona i wpisują zapytanie w wyszukiwarkę. A tam najczęściej pojawia się informacja, że to może być nowotwór jelita grubego. I wtedy przychodzą, ze strachu – mówi dr Gmerek.

Nie każde krwawienie oznacza jednak najgorsze.

– Znaczenie ma to, jaka to jest krew, czy są zaparcia, czy zmienia się rytm wypróżnień. Przy chorobach nowotworowych pojawiają się też inne objawy: śluz, nieregularne, często tzw. wybuchowe stolce – wyjaśnia lekarz.

Dlatego tak ważna jest diagnostyka i profilaktyka – w tym kolonoskopia, która powinna być wykonywana regularnie po 45. roku życia, a przy obciążeniu rodzinnym po 40.

– To najlepsza profilaktyka nowotworowa, bo pozwala wykryć i usunąć polipy, zanim przekształcą się w raka – podkreśla.

Niepokój powinny wzbudzić także inne objawy: nieregularne krwawienia, zmiana rytmu wypróżnień, pojawienie się śluzu czy nagły spadek masy ciała. – Do tego wszelkie nowe zmiany – zgrubienia, brodawki. To sygnał, że trzeba zgłosić się do lekarza jak najszybciej – zaznacza rozmówca „Głosu Wielkopolskiego".

Zdecydowana większość pacjentów – około 90 proc. – zgłasza się do proktologa z objawami choroby hemoroidalnej. Jeszcze kilkanaście lat temu była ona kojarzona głównie z osobami starszymi. Dziś to się zmieniło.

– To jest choroba cywilizacyjna i zaczyna dotykać coraz młodszych osób. Dzisiaj objawy mają ludzie 20-, 30-letni. Zdarzało mi się operować pacjentów, którzy mieli 18 lat i wymagali leczenia operacyjnego, bo choroba była już bardzo zaawansowana, z obfitymi krwawieniami – podkreśla dr Gmerek.

Zmienił się styl życia, a wraz z nim profil pacjenta.

– My po prostu nie jesteśmy stworzeni do tego, żeby tak dużo siedzieć. Siedzimy w drodze do pracy, siedzimy w pracy po 8-10 godzin, a potem wracamy do domu i znowu siedzimy – przed telewizorem albo z telefonem w ręku. Nawet rower to w pewnym sensie też jest siedzenie – zauważa.

Problem zaczyna się już w młodym wieku – zamiast aktywności fizycznej dominuje spędzanie czasu przed ekranami komórek lub komputerów. A to wszystko, jak mówi dr Gmerek, przekłada się na zdrowie i sprawia, że te problemy pojawiają się coraz wcześniej.

Jak wyjaśnia dalej, profilaktyka w tym przypadku sprowadza się do rzeczy prostych, choć nie zawsze łatwych do wdrożenia. – Powinniśmy jak najczęściej wstawać, ruszać się, zmieniać pozycję. Jeśli się da, warto pracować częściowo na stojąco – stąd popularność biurek stojących. U młodszych kluczowy jest ruch. Natomiast są zawody, jak kierowcy, gdzie tego problemu nie da się całkowicie wyeliminować, i tych pacjentów też jest bardzo dużo – zaznacza dr Gmerek.



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Dr Gmerek tłumaczy, że coraz młodsze osoby mają hemoroidy. Jest to choroba cywilizacyjna, do której w głównej mierze przyczynia się nadmierne siedzenie

Zanim pacjent trafi do specjalisty, często próbuje radzić sobie sam. – Dzisiaj pierwszym lekarzem jest doktor Google. Pacjenci szukają informacji, kupują leki bez recepty, często wykupują wszystko, co jest dostępne w aptece. Problem w tym, że nie ma leków na hemoroidy. Są tylko leki na objawy – tłumaczy rozmówca. Pacjent przychodzi dopiero wtedy, kiedy widzi, że nic nie pomaga. – A zdarza się, że trafiają do nas osoby, które wcześniej wielokrotnie były na SOR-ze z powodu masywnych krwawień i wymagały przetoczenia krwi. To są już stany zagrożenia życia – dodaje.

Za czysto to niezdrowo?

Jednym z największych – i najbardziej zaskakujących – problemów jest nadmierna higiena. – Pacjenci bardzo często słyszą: „Jak swędzi, to trzeba się umyć, im czyściej, tym lepiej". I rzeczywiście tak robią, czasem nawet z zalecenia innych lekarzy. A to błąd – mówi dr Gmerek. – Zbyt intensywne mycie, używanie mokrego papieru czy kosmetyków prowadzi do odparzeń i nasilenia objawów. W tej okolicy powinno być przede wszystkim sucho. W ciepłym i wilgotnym środowisku rozwijają się grzyby i pojawia się świąd – wyjaśnia.

Zmiana nawyków bywa dla pacjentów trudna. – Kiedy mówię im, że muszą ograniczyć higienę, robią duże oczy. To dla nich obrót o 180 stopni. Ale wracają po 2-3 tygodniach i mówią: „Miał pan rację" – dodaje.

Do błędów należy także mechaniczne podrażnianie okolicy odbytu. – Próby „dokładnego czyszczenia", ingerowania w kanał odbytu czy nawet golenie tej okolicy mogą prowadzić do podrażnień, uczuleń i stanów zapalnych – tłumaczy proktolog.

Nie bez znaczenia pozostają także dieta i styl życia. Jak podkreśla, kluczowe są: odpowiednie nawodnienie, ograniczenie słodyczy i dieta bogata w błonnik oraz aktywność fizyczna.

„Najgorsze, co można zrobić, to zwlekać"

Choć choroba hemoroidalna dominuje, problemów proktologicznych jest więcej. – Spotykamy się także z ropniami, przetokami, chorobą uchyłkową jelita grubego czy nieswoistymi chorobami zapalnymi jelit, jak wrzodziejące zapalenie jelita grubego czy choroba Leśniowskiego-Crohna – wylicza.

Do tego dochodzą choroby przenoszone drogą płciową. Jak wyjaśnia, kłykciny kończyste, wywołane przez wirusa HPV, to zmiany, które często wymagają leczenia operacyjnego. Preparatów dostępnych na rynku nie wolno stosować na śluzówkę kanału odbytu.

Jednym z największych mitów pozostaje sama wizyta u proktologa. – Pacjenci wyobrażają sobie różne rzeczy, a prawda jest taka, że badanie jest krótkie, niebolesne i nie jest szczególnie krępujące. Najpierw rozmawiamy, potem wykonuję badanie i decydujemy o dalszej diagnostyce – mówi lekarz.

Jak opisuje, badanie najczęściej odbywa się w pozycji na lewym boku, która jest dla pacjentów bardziej komfortowa niż pozycja kolankowo-łokciowa.

– Można powiedzieć, że tylko pierwsza wizyta jest trudna. Każda kolejna jest już znacznie łatwiejsza. Staram się rozluźnić atmosferę, żeby pacjent czuł się swobodnie – dodaje.

Jak podkreśla, w proktologii kluczowa jest nie tylko wiedza, ale i podejście do pacjenta.

– To dziedzina, w której trzeba mieć doświadczenie, trochę „nosa", ale też umiejętność rozmowy i empatię. Pacjent musi się otworzyć, powiedzieć dokładnie, co mu dolega. Tylko wtedy możemy dobrać skuteczne leczenie – zaznacza.

Barierą pozostaje także strach przed operacją. – Pacjenci słyszą, że po zabiegu nie będą trzymać stolca, że uszkodzone zostaną zwieracze. To nieprawda. Jeśli operuje specjalista, takie ryzyko nie istnieje – podkreśla.

Sam zabieg i rekonwalescencja w praktyce okazują się mniej obciążające niż pacjenci myślą. Jak opisuje dr Gmerek, pacjent wychodzi do domu na drugi dzień, a najtrudniejsze są pierwsze dwa tygodnie, głównie ze względu na dyskomfort przy wypróżnianiu. – Ale później wszystko szybko się poprawia. Po kilku tygodniach pacjenci mówią jedno: „Dlaczego tak długo zwlekałem?" – dodaje.

Bez tabu

Jeszcze niedawno wielu pacjentów nie wiedziało nawet, że istnieje taka specjalizacja. Dziś świadomość tego, kim jest proktolog i czym się zajmuje – leczeniem chorób kanału odbytu i dolnego odcinka przewodu pokarmowego – bardzo wzrosła. Kiedyś to wcale nie było takie oczywiste – jak zauważa poznański lekarz.

Coraz większą rolę w budowaniu tej świadomości, jak i w zmianie podejścia pacjentów do samej wizyty odgrywają media społecznościowe. Dr Gmerek prowadzi profil edukacyjny, w którym w przystępny sposób, z nutą humorystyczną, mówi o problemach proktologicznych. – Bardzo dużo pacjentów przychodzi do mnie i mówi, że zobaczyli film w internecie i uznali, że to nie jest takie straszne. To naprawdę działa – przyznaje.

Internet daje też przestrzeń do zadawania trudnych pytań. – W wiadomościach prywatnych ludzie są dużo bardziej otwarci niż w gabinecie. Pojawiają się pytania bardzo intymne, także dotyczące życia seksualnego. Piszą m.in. osoby homoseksualne, które często mierzą się z problemami, o których trudno mówić wprost. To pokazuje, jak duża jest potrzeba edukacji i rozmowy – podkreśla.

eprasa.pl 1f08a8ac7c

MATERIAŁ INFORMACYJNY NCBR
0011503898

Nauka i biznes łączą siły na rzecz innowacji. Powraca Ścieżka SMART dla konsorcjów

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju ogłosiło nowy konkurs Ścieżka SMART Projekty realizowane w konsorcjach. Instytucja przeznaczy w nim 350 mln zł z programu Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki na innowacyjne projekty badawczo-rozwojowe, których powodzenie wymaga współpracy biznesu, nauki, a także organizacji pozarządowych.

Komórkowa terapia raka trzustki, innowacyjne metody leczenia nowotworów głowy i szyi czy też nowoczesne kable elektroenergetyczne wysokich napięć oparte na oksydowanych drutach aluminiowych, zapewniające zwiększoną moc przesyłową i niższe straty energii - to tylko wybrane przykłady projektów, które aktualnie realizują konsorcja, z dofinansowaniem z Funduszy Europejskich. Aby uzyskać wsparcie, partnerzy tworzący te konsorcja dopracowali szczegóły przedsięwzięć, formalnie zawiązali współpracę oraz złożyli wnioski do Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

- Jednym z głównych priorytetów NCBR jest łączenie nauki i biznesu. I to między innymi dzięki takim instrumentom jak konkurs Ścieżka SMART, możemy zbliżać te dwa światy. Kierujemy tu wsparcie na projekty, których realizacja wymaga współpracy. Takie podejście pomaga tworzyć rozwiązania o wysokiej wartości naukowej, po czym wdrażać je na rynek. W ten sposób innowacje znajdują swoje zastosowanie w naszym życiu codziennym – czy to w leczeniu, pozyskiwaniu przyjaznej środowisku energii, czy usprawnieniu działań – powiedział **prof. dr hab. inż. Jerzy Małachowski**, dyrektor Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

W naborze mogą być dofinansowane projekty, które są realizowane przez przedsiębiorstwa (MŚP lub duże) w ramach konsorcjum z innymi przedsiębiorstwami, organizacjami badawczymi lub organizacjami pozarządowymi. Liderem konsorcjum musi być przedsiębiorstwo.

Uproszczone procedury

W nowym konkursie Ścieżki SMART zrezygnowano z modułowości wniosków o dofinansowanie. Każde z konsorcjów aplikując do NCBR musi obowiązkowo zaplanować realizację prac badawczo-rozwojowych w celu wytworzenia innowacyjnych produktów, technologii, usług lub procesów. Każdy z członków konsorcjum musi być odpowiedzialny za realizację przynajmniej jednego zadania w ramach prac B+R. Dodatkowo, w projekcie można zaplanować zadania związane z promocją zagraniczną wypracowanych w toku prac projektowych rozwiązań oraz działania związane z rozwojem kompetencji pracowników zaangażowanych w realizację projektu.

Wszystkie zgłoszone w naborze projekty muszą wpisywać się w Krajowe Inteligentne Specjalizacje. Komisja Europejska dopuściła możliwość realizacji projektów podwójnego zastosowania, czyli rozwiązań, które mogą zostać użyte zarówno w celach cywilnych, jak i wojskowych. Przedmiot projektu nie może dotyczyć rozwiązań mających zastosowanie wyłącznie militarne.

Nabór wniosków o dofinansowanie rozpoczął się 9 kwietnia 2026 r. i potrwa do 12 czerwca 2026 r. (w ostatnim dniu naboru do godz. 16.00). Łączny budżet naboru to 350 mln zł, a kwota wnioskowanego dofinansowania nie może przekroczyć 140 mln zł na cały jeden projekt.

Każda osoba, która chciałaby uzyskać więcej informacji na temat naboru Ścieżka SMART Projekty realizowane w konsorcjach może zgłosić się do działającego w NCBR Punktu Informacyjnego. Pytania można kierować telefonicznie, mailowo bądź umówić się na spotkanie stacjonarne lub online.

Nabór Ścieżka SMART Projekty realizowane w konsorcjach realizowany jest w ramach Priorytetu I. Wsparcie dla przedsiębiorców programu Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki.

Więcej informacji dostępnych jest na stronie: gov.pl/ncbr

Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | NCBR Narodowe Centrum Badań i Rozwoju

eprasa.pl 1f08a8ac7c



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przemawiając w synagodze, Jan Paweł II podkreślił, że nie można Żydom jako narodowi przypisywać żadnej dziedzicznej ani zbiorowej winy za to, co popełniono podczas męki Jezusa

CO JAN PAWEŁ II MÓWIŁ W RZYMSKIEJ SYNAGODZE?

13 kwietnia 1986 r. Jan Paweł II złożył wizytę w rzymskiej synagodze. Jako pierwszy papież w historii

Mariusz Grabowski

Po raz pierwszy od czasów apostolskich, 40 lat temu, następca Świętego Piotra wszedł do żydowskiego domu modlitwy, modlił się i przemawiał do Żydów. Watykan od synagogi nad Tybrem dzieli niespełna kilometr, ale na gruncie ekumenizmu była to odległość bardzo długa. A jej echa słychać i dziś.

Starsi bracia?

Wizyta i wygłoszone tam przemówienie oznaczały przełom w relacjach z judaizmem. Odwołując się do soborowej deklaracji „Nostra aetate" papież zwrócił uwagę na szczególną relację chrześcijaństwa z judaizmem. „Religia żydowska nie jest dla naszej religii rzeczywistością zewnętrzną, lecz czymś wewnętrznym. Stosunek do niej jest inny aniżeli do jakiejkolwiek innej religii. Jesteście naszymi umiłowanymi braćmi i pod pewnym względem - można powiedzieć - naszymi starszymi braćmi".

Papież podkreślił też, że nie można Żydom jako narodowi przypisywać żadnej dziedzicznej ani zbiorowej winy za to, co popełniono podczas męki Jezusa. Dlatego nie ma „żadnych podstaw do jakiejkolwiek, rzekomo teologicznie usprawiedliwionej dyskryminacji czy - co gorsza - prześladowań Żydów". Cytując „Nostra aetate" Ojciec Święty przypomniał, że Żydzi „pozostają przedmiotem miłości Boga", który powołał ich „wezwaniem nieodwracalnym". Nie należy zatem przedstawiać Żydów jako odrzuconych czy przeklętych.

Komentatorzy określili później to przemówienie jako „Odnalezione braterstwo".

Przypomnijmy historyczne okoliczności wizyty. Papież wszedł do Tempio Maggiore di Roma przy Lungotevere de' Cenci o godz. 17. Na zdjęciach z tego wydarzenia widać, jak wita się z rabinem Rzymu Elio Toaffem. Rabin powitał Ojca Świętego przed główną bramą synagogi, po czym obaj, wraz z towarzyszącymi im osobami, weszli do środka.

Do dziś w muzeum w synagodze znajduje się dokumentacja tamtego wydarzenia. A jak ważne były relacje katolicko-żydowskie dla św. Jana Pawła II świadczy fakt, że w swoim testamencie wspomina rabina Rzymu, Elio Toaffa, który w 2000 r. otrzymał doktorat honoris causa KUL.

Wizycie w synagodze towarzyszyły wielkie emocje. Wizytę kontestowali wówczas m.in. obecna przed świątynią grupa członków Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X, wołająca: „Papieżu, powstrzymaj się, nie idź do Kajfasza".

Nim Jan Paweł II wygłosił swoje przemówienie, głos zabrał gospodarz - rabin Toaff. Witając gości zauważył, że „Kościół w sposób radykalny zmienił swoje nauczanie na temat Żydów i traktuje ich z szacunkiem i powagą". Podkreślił, że nie zapominając o przeszłości, Żydzi chcą współpracować w ramach obu wspólnot na zasadzie partnerstwa i równości. Nie zmienia to jednak faktu, iż „pragną oni nadal szerzyć wiarę w Jedynego Boga i Jego miłość, a także ojcostwo wobec wszystkich ludzi". Przekonani, że człowiek został stworzony przez Boga na Jego podobieństwo, chcieliby wraz z chrześcijanami nauczać o koniecznym szacunku w stosunkach międzyludzkich, przeciwstawiać się wszelkim formom rasizmu i antysemityzmu.

„Żydzi i chrześcijanie mogą - mówił Toaff - współpracować również w dziedzinie ochrony praw człowieka, jak prawo do wolności sumienia i wyznawania własnej religii. Interesująco brzmi zachęta do wspólnej troski o życie »od pierwszej chwili jego poczęcia«".

Jezus w centrum

Po Toaffie przemówił Jan Paweł II. Ale zanim przeszedł do teologicznej wykładni nauczania Kościoła na temat Żydów, odwołał się do wydarzeń ze swego życia. Na wstępie przyznał, że od dawna myślał o tej wizycie i przypomniał, że rabin Toaff spotkał się już z nim 8 lutego 1981 r., gdy biskup Rzymu odwiedził pobliską parafię św. Karola i Błażeja.

Wspomniał też o swym pobycie na terenie byłego obozu koncentracyjnego Auschwitz 7 czerwca 1979 r. w czasie wizyty apostolskiej w Polsce, gdy cierpieniom narodu żydowskiego w czasie ostatniej wojny poświęcił oddzielny fragment wygłoszonej wówczas homilii.

Dodał także, że jego wizyta nie jest zwieńczeniem przezwyciężonych różnic i poglądów, ponieważ we wzajemnych kontaktach chrześcijanie i żydzi znajdują się dopiero u początku drogi. Przypomniał, że „jednych i drugich dzieli przede wszystkim osoba i nauczanie Jezusa z Nazaretu, syna narodu żydowskiego".

NA ZAKOŃCZENIE WIZYTY OJCIEC ŚWIĘTY I NACZELNY RABIN RZYMU WYMIENILI POCAŁUNKI POKOJU. W ŚLADY JANA PAWŁA II POSZLI TEŻ JEGO NASTĘPCY

Jan Paweł II i kolejni

Wątek chrystologiczny często umyka tym, którzy opisują tamto wydarzenie. A przecież jest kluczowy dla dialogu katolicko-żydowskiego. „Możemy więc zauważyć - mówił papież - że Jezus Chrystus na stałe podzielił chrześcijan i żydów. Przed każdym chrześcijaninem staje nieustannie wyzwanie, aby owo »nie« dla Jezusa Chrystusa umieć wyjaśnić w sposób pozytywny, starając się zrewidować własny sposób składania o Nim świadectwa".

I dalej: „Mogę więc otworzyć przed wami swoje serce i szczodrze okazać swoje uczucia życzliwości dla całej wspólnoty żydowskiej Rzymu, jak i wszystkich Żydów na całym świecie" - zapewnił Jan Paweł II.

Na zakończenie wizyty Ojciec Święty i naczelny rabin Rzymu wymienili pocałunki pokoju. W ślady Jana Pawła II poszli też jego następcy: 17 stycznia 2010 r. rzymską synagogę odwiedził Benedykt XVI, a 17 stycznia 2016 r. papież Franciszek.

W 2021 r., w 35. rocznicę wizyty, rabin Riccardo di Segni, obecny rabin Rzymu, ujawnił kulisy jej przygotowania. Wedle niego pomysł zrodził się przy obiedzie w gronie papieskich współpracowników. Rabin Toaff przyjął propozycję wizyty z ogromnym zaskoczeniem, ale i jako wyzwanie powitania w synagodze pierwszego w historii papieża. Przekonał do tego pomysłu rabinat europejski, zupełnie ignorując opinię rabinatu Izraela, który mógł stwarzać problemy. „Papież Wojtyła doskonale zdawał sobie sprawę, że obraz mówi wiele więcej niż słowa. Jego uścisk z rabinem Elio Toafem stał się ikoną tej wizyty, która sprawiła, że dotychczasowe niedomówienia w dwustronnych relacjach zaczęły znikać" - wspominał di Segni.

Przypomina też, że słowa Jana Pawła II, który w rzymskiej synagodze po raz pierwszy w historii nazwał Żydów „starszymi braćmi w wierze", zasugerował mu charyzmatyczny kard. Roger Etchegeray, wówczas prezydent Papieskiej Komisji Iustitia et Pax oraz Papieskiej Rady Cor Unum.

List i emocje

I te właśnie słowa - „starsi bracia w wierze" - budzą do dziś największe emocje na gruncie teologicznym. W Polsce wywołał je ponownie wydany w 40. rocznicę wizyty list episkopatu.

Czytamy w nim m.in. „W swoim wystąpieniu papież radykalnie sprzeciwił się przedstawianiu Żydów jako »odrzuconych albo przeklętych«. Przez ponad półtora tysiąca lat treści te, obecne w katolickim nauczaniu i błędnej interpretacji Pisma Świętego, kształtowały postawy chrześcijan, przyczyniając się do nienawiści, prześladowań i manifestacji antysemityzmu. Powinniśmy pamiętać, że Kościół katolicki stwierdza dziś jednoznacznie: Żydzi są nadal umiłowani przez Boga, który wezwał ich nieodwołalnym powołaniem. Bóg bowiem, wierny swym obietnicom, nie odwołał Pierwszego Przymierza. Izrael pozostaje nadal narodem wybranym".

W liście znalazły się sformułowania, które wywołały falę krytyki kościelnych konserwatystów. Choćby takie: „Pamiętając, że zawsze modlimy się za nich w liturgii wielkopiątkowej, prosząc Boga, aby lud, który On jako pierwszy nabył na własność, »wzrastał w wierności Jego przymierzu« i mógł »osiągnąć pełnię odkupienia«. Bo »nie ma żadnych wątpliwości, że Żydzi są uczestnikami Bożego zbawienia, ale jak to może być możliwe bez wyraźnego wyznawania Chrystusa - jest i pozostanie niezgłębioną tajemnicą Bożą«".

Metropolita krakowski kard. Grzegorz Ryś, uważany za inspiratora listu episkopatu, tak wyjaśnia te kwestie w rozmowie z Polską Agencją Prasową: „O tym, że Izrael pozostaje narodem wybranym, mówi nauczanie wszystkich kolejnych papieży od Soboru Watykańskiego II aż do papieża Leona XIV włącznie. A to, że Izrael jest zbawiony, to nie jest żadne wyważanie otwartych drzwi, bo wszyscy ludzie zostali zbawieni przez Jezusa Chrystusa. Ten list nie mówi o tym, że Żydzi są zbawieni jakoś inaczej, obok Jezusa Chrystusa albo bez Niego. Powtarzam: wszyscy ludzie, którzykolwiek żyli, żyją i będą żyć na świecie, są zbawieni w Jezusie Chrystusie. W tym liście nie ma więc żadnych przewrotów doktrynalnych. W moim odczuciu niezrozumienie tego listu wynika z faktu, że to, czego Kościół systematycznie uczy przez ostatnie 60 lat - Kościół katolicki, z papieżami na czele - najwyraźniej wciąż nie dotarło do naszych wiernych. To chyba wymaga jakiejś szerszej analizy, dlaczego tak się dzieje. Potrzebujemy w tej kwestii - i może nie tylko w tej - poważnej i konsekwentnej edukacji religijnej w polskim Kościele".

eprasa.pl 1f08a8ac7c

MATERIAŁ INFORMACYJNY SANTANDER

0011478376

Czas na **Erste**

Rozmowa z **PIOTREM MIELEWCZYKIEM**, dyrektorem Biura Klienta Biznesowego i **PAWŁEM LISEM**, dyrektorem 1 Oddziału Santander Bank Polska





Santander Bank Polska już wkrótce zmieni się w Erste Bank Polska?

Paweł Lis: Już wkrótce, bo w weekend 24-26 kwietnia 2026 r. planujemy rozpocząć rebranding, czyli zmianę naszej marki na Erste Bank Polska. Od stycznia mamy nowego głównego akcjonariusza – Grupę Erste. Silna, wiodąca grupa bankowa w Europie Środkowej doceniła naszą pozycję rynkową i bardzo dobre wyniki.

Odbieramy to jako dowód uznania oraz potwierdzenie ogromnej wartości naszego banku, osiąganych wyników finansowych i jakości usług. Od prawie 40 lat służymy naszym klientom – z tą samą energią, dopasowanymi produktami, najwyższą jakością. I nadal będziemy.

Piotr Mielewczyk: Polska to rynek o ogromnym potencjale, zatem naturalne, że chcąc wejść na ten rynek, wybrano partnera, który jest mocny, wiarygodny i jakościowo spójny z wartościami. Dochodzi do tego jeszcze jeden aspekt: wysoki poziom eksperckości naszego zespołu. Mamy znakomitych ekspertów, którzy od lat pomagają rozwijać się zarówno lokalnym firmom, jak i dużym międzynarodowym korporacjom. I właśnie to profesjonalne i przewidywalne podejście jest najbardziej cenne w branży bankowej.

Klienci zaczynają zauważać, że część oddziałów Santander Bank Polska wygląda nieco inaczej niż dotychczas. Czy to już początek rebrandingu?

Paweł Lis: Mamy rozbudowaną sieć, tysiące punktów kontaktu z klientem, bardzo wiele materiałów, systemów i elementów wizualnych. Dlatego przygotowania rozpoczęliśmy wcześniej – tak, aby cały proces przebiegł sprawnie i w sposób niemal nieodczuwalny dla klientów. Stąd pewne miejsca są już częściowo dostosowane do nowej identyfikacji. Wszystko robimy etapowo i z zachowaniem pełnej spójności oraz zgodnie z przepisami prawa.

Piotr Mielewczyk: W ten sposób nie tylko zapowiadamy nadchodzącą zmianę i zapoznajemy naszych klientów z nową marką. Chcemy, aby klienci czuli, że wprowadzamy ich w tę zmianę krok po kroku. Przykładamy również dużą wagę do zapewnienia ciągłości działania, stabilności i bezpieczeństwa. W naszej współpracy z klientami nic się nie zmienia.

Czy klienci Santander Bank Polska powinni przygotować się na jakieś zmiany?

Paweł Lis: Nie. Cały proces zmiany marki przeprowadzimy tak, aby był jak najmniej odczuwalny dla naszych klientów. Nowe będzie logo i kolory. Ale nasi klienci nadal bankują z nami jak dotychczas, w placówkach spotykają tych samych doradców. Nasz bank to przede wszystkim ludzie, którzy dbają każdego dnia o klientów.

W banku już przygotowujemy się do procesu zmiany marki. Przede wszystkim informujemy o nowej marce banku w naszych kampaniach reklamowych – dodaliśmy specjalne oznaczenia z informacją o tym, że wkrótce zmienimy się w Erste Bank Polska. Systematycznie informujemy klientów o kolejnych etapach, zwracamy uwagę na aspekty bezpiecznego bankowania. Nie zmieniamy numerów kont, haseł, PIN-ów czy numeru infolinii.

Piotr Mielewczyk: Mamy nowego akcjonariusza, ale fundamenty naszej działalności pozostają bez zmian. Z perspektywy klientów firmowych nic się nie zmienia w naszej codziennej współpracy. Klienci mają tych samych bankierów i doradców, tę samą infrastrukturę, te same produkty, procesy i tę samą bankowość elektroniczną. Wszystkie umowy pozostają w mocy. Warto pamiętać, że takie zmiany są przygotowywane z wyprzedzeniem właśnie po to, aby klienci nie musieli podejmować dodatkowych działań.

Macie ofertę dla wszystkich grup klientów, czy coś się w tej kwestii zmieni?

Paweł Lis: Naturalnie nadal będziemy obsługiwać wszystkie grupy klientów. Mamy ofertę m.in. dla dzieci i młodzieży, rodziny, klientów zamożnych i bardzo zamożnych. Obsługujemy małe i średnie firmy. Jednocześnie rozwijamy ofertę produktów codziennego bankowania, a także kredyty, depozyty i inwestycje. Jeszcze przed wakacjami pojawi się kilka nowości w naszej ofercie. Nadal będziemy rozwijać naszą aplikację mobilną. Chcemy, aby korzystanie z naszych rozwiązań było dla klientów jak najbardziej wygodne i bezpieczne. Ostatnio wprowadziliśmy w bankowości internetowej ochronę behawioralną, aby nasi klienci byli jeszcze bardziej bezpieczni. I będziemy dalej rosnąć z naszymi klientami.

Jesteśmy jednym z najbardziej stabilnych i rentownych banków w kraju, o ugruntowanej silnej pozycji i bardzo dobrych wynikach finansowych. Nasza jakość obsługi oraz produkty są doceniane nie tylko przez klientów, ale także w niezależnych konkursach – jesteśmy „Najlepszym Bankiem dla firm" Forbesa, co roku stajemy na podium w rankingu Złoty Bank czy Instytucji Roku.

Piotr Mielewczyk: Z kolei w segmencie firm i korporacji mówimy o pełnej, zaawansowanej ofercie, począwszy od finansowania inwestycji, poprzez leasing i faktoring, aż po obsługę transakcyjną. I tu pojawia się ogromna szansa dla klientów, którzy działają na rynkach międzynarodowych. Dzięki wsparciu Grupy Erste będziemy mogli oferować naszym klientom dodatkowe możliwości w ramach ekspansji zagranicznej.

À propos ekspansji – jak wygląda przyszłość polskich firm z perspektywy banku?

Piotr Mielewczyk: Uważam, że ta perspektywa rysuje się optymistycznie. Coraz więcej polskich firm wychodzi na nowe rynki. Jednocześnie rośnie ich pozycja tam, gdzie już są obecne. Dzięki połączeniu naszej wiedzy i doświadczenia z międzynarodowym know-how Erste będziemy mogli zapewnić naszym klientom nowe możliwości rozwoju. W praktyce oznacza to większą płynność działania między krajami, dostępność kapitału czy lepszą obsługę walutową.

Paweł Lis: Wzrost polskich firm to z perspektywy gospodarki bardzo ważny trend. Silne firmy budują silną klasę średnią, a silna klasa średnia napędza konsumpcję i sprzedaż detaliczną. To zdrowy, wzajemnie wspierający się ekosystem. Jako bank widzimy, jak dynamicznie rozwija się przedsiębiorczość i jak rośnie skala ambicji polskich firm.

Rebranding to wielkie wyzwanie dla tak dużej organizacji. Czy można powiedzieć, że jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem?

Paweł Lis: Zdecydowanie tak. Kluczowe jest jednak to, aby nasi klienci przeszli przez zmianę marki banku w sposób jak najbardziej dla nich wygodny i bezpieczny. Dlatego cały proces przeprowadzamy tak, by był dla nich transparentny. My po prostu robimy swoje: codziennie obsługujemy kilka milionów klientów, realizujemy przelewy, udzielamy kredytów, doradzamy, pomagamy. Bank działa bez zmian. Zapraszamy do naszych placówek oraz do kanałów zdalnych, gdzie można nie tylko otworzyć konto, ale skorzystać z wielu innych produktów, wspierających finanse naszych klientów.

Piotr Mielewczyk: To początek nowego etapu, w którym klienci zyskują siłę nowego międzynarodowego partnera, a jednocześnie zachowują korzyści ze współpracy z bankiem, który znają od lat. Uważam, że to bardzo dobra wiadomość – zarówno dla naszych klientów, jak i dla nas jako instytucji.

O Grupie Erste można przeczytać na erste.pl.

eprasa.pl 1f08a8ac7c

Polska
Poniedziałek, 13.04.2026

W pewnym momencie zrozumiałam, że z jakiegoś powodu moi przodkowie nie chcieli, bym dowiedziała się, co się im przydarzyło. Teraz już wiem, że nie jestem w tym wyjątkowa i że istnieją rodziny, które skazują swoje dzieci i wnuki na życie w milczeniu, wśród niedopowiedzeń i pilnie strzeżonych tajemnic – mówi Magda Huzarska-Szumiec, dziennikarka, autorka książki „Dlaczego mój ojciec nie mógł zasnąć. O dziedziczeniu milczenia i traumy”

Katarzyna Kachel



FOT. ANDRZEJ BANAŚ

MAGDA HUZARSKA-SZUMIEC: CHCIAŁAM SIĘ DOWIEDZIEĆ, DLACZEGO MÓJ OJCIEC NIE MÓGŁ ZASNĄĆ

Czego ty szukasz? – nie bez irytacji pyta twoja mama ojca we lwowskim hotelu. Rodzice rozmawiają na tyle głośno, że słyszysz odpowiedź, która brzmi: Przeszłości. Chciałbym się w końcu od niej uwolnić. A ty czego szukałaś?
Przeszłości. Ale nie po to, by się od niej uwolnić albo się od niej odciąć, ale by ją poznać. Szukałam korzeni mojej rodziny i dziś po skończeniu pracy nad książką jedyne, czego jestem pewna, to fakt, że nadal niewiele wiem. Rozmowa, którą przytaczasz, miała miejsce, kiedy z rodzicami i bratem pojechaliśmy na wymarzone wczasy do Bułgarii. Byłam wtedy siedmio-, może ośmioletnim dzieckiem, które wyrusza w podróż życia. Ojciec się uparł, by jechać przez Lwów, co było kompletnym bezsensem i nadkładaniem drogi. W hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, spędziliśmy parę godzin, bo pogryzły nas pluskwy i mama zarządziła ewakuację. Z tamtej perspektywy wydawało się, że przystanek w tym strasznym miejscu był kompletną pomyłką, ale to właśnie wtedy ojciec jedyny raz powiedział cokolwiek o sobie, choć wówczas także nie padło zbyt wiele słów. Wynikało z nich tylko, że w trakcie wojny urodził się we Lwowie i tu spędził dzieciństwo. Nigdy wcześniej ani później z jego ust nie usłyszałam nic więcej na temat przeszłości.

A ty nie pytałaś?
Kiedy jesteś dzieckiem, nie zadajesz pytań. Skoro dorośli nie mówią o sobie, nie snują przy stole rodzinnych opowieści, uznajesz, że to jest normalne, że tak jest i już. Podobnie było u Artura Spiegelmana, autora komiksu „Maus”, który przez wiele lat myślał, że skoro jego ojciec w nocy krzyczy, to wszyscy ojcowie pewnie tak mają. Fakt, że mój ojciec nie mógł spać po nocach, też uznawałam za coś naturalnego. Nie miałam porównania. Tak samo było z dziadkami. Mając kilka lat, nie zastanawiałam się, skąd wynika takie a nie inne ich zachowanie, dlaczego babka ze strony ojca była zimna i nie okazywała mi żadnych ciepłych uczuć. Te pytania zadałam sobie teraz, już jako dorosła osoba, która próbowała się dowiedzieć, co z jej rodziną było nie tak i, jak już wiesz, nie znalazłam na wszystkie pytania odpowiedzi.

Ale masz domysły?
Czułam, nadal czuję, że w rodzinie ojca musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że stali się tak dalecy, niedostępni, że swoje własne wnuki traktowali przedmiotowo. Nie było w tych relacjach uczucia, nie było czułości. Wydawać by się mogło, że dziadkowie wybudowali sobie mur, którym odcięli się od najbliższych osób. Teraz wiem, że mogło to wynikać z ich strachu, z tego, że może zdarzyć się znowu coś takiego, co spowoduje po raz kolejny utratę. Zresztą tak naprawdę dziadków widziałam kilka razy w życiu i nie wspominam tych spotkań dobrze.

Zabawkami cię nie rozpieszczali, ale piszesz, że babka ugotowała ci raz całkiem smaczną parówkę.
Bo byłam chuda i zagłodzona, jak oceniły z ciotką Małgorzatą, oglądając mnie dokładnie w świetle lampy. A ja marzyłam tylko o tym, by wrócić do domu. Choć ta parówka była pyszna. W Rzeszowie, gdzie mieszkałam, takich nie było. W Katowicach kupowało się je łatwiej, bo były przydziały dla górników. Ale wracając do zasadniczej kwestii, zastanawiałam się, czy moja niechęć do dziadków wynikała z moich subiektywnych odczuć, czy może jestem przewrażliwiona i przesadzam, demonizuję ich obraz. Jednak kiedy parę lat temu poznałam moich kuzynów, Alę i Maćka, córkę i syna brata mojego ojca, i zaczęliśmy rozmawiać o dziadkach, okazało się, że oni mają podobne wspomnienia z dzieciństwa. Także pamiętają skąpane w mroku schody kamienicy w Katowicach i strumień światła padający przez otwarte drzwi, w których stała nasza babka. Oni też marzyli, żeby stamtąd jak najszybciej uciec. To skłoniło mnie do zadania sobie pytania, dlaczego wszyscy mamy tak złe wspomnienia. Myślałam, że znajdę na to odpowiedź, odkrywając historię mojej rodziny. Jednak okazało się to bardzo trudne, ślady przeszłości zostały skrzętnie zamazane. Niczego nie znalazłam, co też jest znamienne, tak jakby cała przeszłość została wyczyszczona, zamieciona. W archiwach nie trafiłam na żadne informacje na ich temat. Nadal nie wiem, kim byli. Przedziwne, bo o korzeniach babci ze strony mamy, która urodziła się w tym samym czasie pod Lwowem, z archiwalnych dokumentów dowiedziałam się niemal wszystkiego. I to bez większego problemu. Poznałam też losy mojego drugiego dziadka, który w czasie I wojny światowej w wieku 16 lat uciekł do wojska, gdzie został skrybą. Natomiast część mojej rodziny ze strony ojca pozostawała wciąż otoczona mrokiem tajemnicy. Kiedyś znajomy opowiedział mi, że poznał ludzi, którzy noszą takie samo nazwisko i też pochodzą ze wschodu. Okazało się, że organizują rodzinne

eprasa.pl 1f08a8ac7c

zjazdy, dzięki którym utrzymują ze sobą ścisły kontakt. Aż podskoczyłam z radości, bo wydawało mi się, że wreszcie trafiłam na jakiś trop. Ale ci ludzie nic nie wiedzieli o moich dziadkach.

Co z tym zrobiłaś?
Odpuściłam, choć znasz mnie i wiesz, że nie przyszło mi to łatwo. W pewnym momencie zrozumiałam, że widocznie z jakiegoś powodu moi przodkowie nie chcieli, bym dowiedziała się, co się im przydarzyło. O tym, że nie jestem wyjątkowa i że wiele rodzin skazuje swoje dzieci na życie w milczeniu, wśród niedopowiedzeń i pilnie strzeżonych tajemnic, przekonałam się, sięgając po książki, takie jak m.in. „Traumaland" Michała Bilewicza czy „Cena" Anny Bikont. Po ich lekturze zaczęło do mnie docierać, że wiele historii przytaczanych przez autorów publikacji, podejmujących temat przekazywania traumy wojennej z pokolenia na pokolenie, skądś znam i że sama mam z nimi wiele wspólnego. Urodziłam się przecież długo po wojnie, a jeżeli cokolwiek mi się śni, to jest to zawsze z nią związane. Od wielu lat, kiedy jeszcze nie było to takie oczywiste, jako dziennikarka drążyłam temat Holokaustu, opisywałam opowieści ludzi ocalonych z Zagłady, takich jak Niusia Horowitz-Karakulska, bohaterka mojej poprzedniej książki Niusia z listy Schindlera. Literatura dotycząca traum transgeneracyjnych utwierdziła mnie w przekonaniu, że nie jestem sama. Że 19 procent naszego społeczeństwa, jak podaje Michał Bilewicz, żyje w nieświadomości tego, jaki wpływ na nich mają doświadczenia wojenne przodków. Teraz, kiedy książka się ukazała, słyszę od wielu osób, że oni też żyją wśród niedomówień, rodzinnych tajemnic. Ta zmowa milczenia jest wciąż żywa, jest doświadczeniem wielu osób, do których kieruję moją książkę.

Książkę, która prowadzona jest dwutorowo. Z jednej strony to opowieść o tym, jak z okruchów pamięci budujesz swój dom, a z drugiej to historia pana Bolesława.
Tak, nawet tytuły poszczególnych rozdziałów odnoszą się do pomieszczeń, z których zbudowany jest dom. Ta część to moja prywatna historia, która zazębia się ze zbeletryzowaną opowieścią o panu Bolesławie, mężczyźnie, którego poznałam zupełnie przypadkowo w areszcie śledczym przy Montelupich.

Skąd się tam wzięłaś?
Pracując w „Gazecie Krakowskiej" upierałam się, żeby pisać o Holokauście, ale też o wszystkim, co jest związane z kulturą żydowską. Pracowałyśmy razem, więc wiesz, że moje zainteresowania nie zawsze pokrywały się z zainteresowaniami redaktorów. Dlatego od czasu do czasu robili mi niespodzianki i zlecali tematy, które były dla mnie dość abstrakcyjne. Jednym z nich była rozmowa ze skazanym za morderstwo mężczyzną. Może to i byłoby ekscytujące z dziennikarskiego punktu widzenia, ale nie w tych okolicznościach i nie w tym dniu, który dokładnie opisuję w książce. Nie miałam jednak innego wyjścia i znalazłam się za kratkami. I tam jeden z wychowawców poprosił mnie o rozmowę ze starszym panem, który przychodził czytać więźniom wiersze. Tak poznałam pana Bolesława. Siedzieliśmy razem w celi, a on opowiadał mi historię swojego życia. W pewnym momencie doszedł w niej do ucieczki z przemyskiego getta. Wcześniej getto udało się opuścić jego mamie, od której dostał wiadomość, że czeka na niego na Winnej Górze. To takie wzniesienie na obrzeżach Przemyśla, dziś dość luksusowy teren z pięknymi przedwojennymi willami. Tylko jak miał ją znaleźć wystraszony chłopiec, który już doskonale wiedział, co grozi mu za ucieczkę z zamkniętej dzielnicy żydowskiej. Biegł przez miasto, aż poczuł zapach świeżego pieczywa. Dochodził on z kamienicy, w której znajdowała się piekarnia. On był tak strasznie głodny, że nie bacząc na niebezpieczeństwo, wszedł do niej. Piekarze go przegonili, pobiegł wówczas do mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie przygarnęła go pewna kobieta z małą dziewczynką. Nakarmiła wystraszonego chłopca, umyła, pozwoliła mu się przespać i zaprowadziła do mamy. I teraz wyobraź sobie, że siedzę przed człowiekiem, który ze szczegółami opisuje mi moją babcię i mamę, która miała wtedy dwa latka. Na dodatek obydwie mieszkały w kamienicy nad piekarnią, która wówczas była jedna w tej części miasta, czyli na Zasaniu.

Nie zadałaś mu żadnych pytań?
Uciekłam. W normalnej sytuacji każdy dziennikarz powinien złapać temat i go nie wypuścić, ja nie wydobyłam z siebie żadnego słowa. To było ponad 20 lat temu, dokładnie w tym roku, kiedy zmarły moja mama i babcia. Nie byłam w stanie dalej tego słuchać. Wyparłam to spotkanie z pamięci. Przez długie lata nikomu o tym nie opowiedziałam. Musiało upłynąć sporo czasu, aż zdecydowałam się o tym mówić. Pamiętam dokładnie wieczór po spotkaniu w Muzeum Polin w Warszawie, które dotyczyło „Niusi z listy Schindlera". Z redaktorkami z Wielkiej Litery poszłyśmy na kolację i opowiadałyśmy sobie różne historie z życia. Ja opowiedziałam tę. Kiedy skończyłam, usłyszałam: „A czy ty wiesz, że masz początek kolejnej książki?". Zaczęłam się śmiać, ale równocześnie zrozumiałam, że to było coś ważnego, że była to historia, której bałam się do tamtej pory dotknąć.

Chciałaś ją opowiedzieć sobie czy innym?
Przede wszystkim sobie. Sama wiesz, pisząc swoje książki, że robi się to dla siebie. Dopiero później przychodzi refleksja, że ktoś będzie je czytał i że może w opisanych historiach odnajdzie siebie. Ja dzięki książkom innych ludzi zrozumiałam, skąd biorą się moje takie a nie inne zachowania, dlaczego tak gwałtownie reaguję na sytuacje, które są całkiem naturalne i nie powinny wzbudzać we mnie lęku, z kolei ze stoickim spokojem wysłuchuję strasznych opowieści Ocalonych. Kiedy pisałam książkę o Niusi, uświadomiłam sobie, że słucham jej opowieści bez większego, emocjonalnego zaangażowania, jakbym wybudowała sobie mur, który oddzielał mnie od jej strasznej historii. Ta pancerna ściana pozwalała mi się zdystansować, stanąć obok i tylko słuchać, a nie przeżywać tego, co przeżywała moja bohaterka. Wytworzyłam w sobie mechanizm obronny, który umożliwiał mi przebywanie w jej świecie i równocześnie opisywanie tego co się w nim działo.

To dlaczego to robiłaś?
Bo z jednej strony czułam przed tym tematem lęk, a z drugiej niezwykłe nim zaciekawienie. W książce „Dlaczego mój ojciec nie mógł zasnąć" cytuję profesora Pawła Holasa, który zajmuje się zawodowo badaniem transmisji traum między generacjami. Mówi, że często zdarza się, iż pokoleniowo przekazywane są nie tylko treści i znaczenia emocjonalne samych traumatycznych przeżyć, ale też sposób, w jaki nasz przodek sobie z nimi radził. Sam profesor, kiedy był już dorosły, dowiedział się, że ma korzenie żydowskie. Doświadczył wtedy silnego strachu. Nagle bowiem uświadomił sobie, że jeszcze niedawno za to mordowano, że fakt pochodzenia wiąże się z całym bagażem uprzedzeń. I nie miał tu znaczenia fakt, że dziś nic mu nie grozi. Z jednej strony stara się temat omijać, a z drugiej w niego brnie. Czułam podobnie. Choć pisząc książkę nigdzie nie użyłam słowa „Żyd" w kontekście moich przodków. Nie zrobiłam tego, ponieważ nie wiem. Nie mam pewności, jakie było pochodzenie mojego ojca, ani moich dziadków. Nie mam żadnych namacalnych dowodów, tylko całą garść przeczuć, niedopowiedzeń, zawieszonych w połowie zdań.

Co miałaś na myśli, mówiąc o swoich gwałtownych reakcjach w sytuacjach, które dla innych są całkiem naturalne?
W książce opowiadam o tym, jak tłum ludzi, którzy skakali obok mnie pod sceną podczas koncertu Maanamu, sprawił, że wpadłam w histerię. Kora śpiewała moje ulubione kawałki „Cykady na Cykladach" czy „Nie poganiaj mnie, bo tracę oddech", a ja usiłowałam się wydostać z sali, bo czułam, że to ja zaraz stracę oddech, a może i życie. Ten atak paniki był niewspółmierny do tego, co się działo podczas koncertu. Dziś wiem, że mógł on wynikać z tego, co naukowcy nazywają transmisją transgeneracyjną na poziomie epigenetycznym, czyli z przekazywania w genach kolejnym pokoleniom pamięci o sytuacjach stresowych, które były udziałem przodków. Pamiętam, jak w szkole pojechaliśmy na wycieczkę do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Tam dałam dopiero popis, choć miejsce może było bardziej adekwatne do takiego zachowania.

Mama zapytała cię zanim wsiadłaś do autokaru: „Na pewno chcesz tam jechać"?
Myślisz, że odpuściłabym sobie wycieczkę z klasą? To przecież miała być przygoda. Ale moja reakcja w obozie, kiedy się zgubiłam i chodziłam po barakach sama, a potem szukałam wyjścia, była za mocna. Dostałam ataku histerii i długo nie mogłam się uspokoić. Na pewno w dużym stopniu ta panika była wynikiem przeczytanych lektur, obejrzanych filmów, tego, czym karmiono wówczas dzieci niemal od kołyski. Kto nie oglądał „Stawki większej niż życie" albo „Czterech pancernych i psa"? Nie dawałam się odciągnąć od telewizora, choć panicznie się bałam, gdy na ekranie pojawiali się Niemcy.

Wrócę do twojego ojca. Bardzo poruszyła mnie scena jego pogrzebu, na który pojechałaś razem z bratem. Moment, kiedy patrzysz na trumnę i czujesz cholerną złość, bo tak naprawdę go nie znałaś, nie wiedziałaś, kim był.
Pamiętam dobrze, kiedy mieszkałam w akademiku w Krakowie i do moich koleżanek przyjeżdżali ojcowie, a ja im strasznie zazdrościłam. Nie samych odwiedzin, ale relacji, wspólnych spacerów po Plantach. Ja nie mogłam mojego ojca zaprosić na spacer, porozmawiać z nim, zapytać o te istotne i mniej istotne sprawy, bo go w moim życiu nie było. I właściwie jedno z ważniejszych pytań, które sobie stawiałam w trakcie pisania tej książki, brzmiało: „Dlaczego?" I, jak wiesz, nie potrafię sobie do dziś na nie odpowiedzieć.

Mocny jest rozdźwięk między ojcem, którego pamiętałaś z dzieciństwa i człowiekiem, w którego zmienił się z biegiem czasu. Wspominasz, jak chodził z tobą na plac zabaw i kręciliście samoloty, co wprawiało w zdumienie matki, które pilnowały swoich pociech bawiących się w piaskownicy.
To było w latach 70., kiedy widok ojca bawiącego się z dzieckiem w piaskownicy nie był czymś powszechnym, był wręcz czymś niespotykanym. Ojcowie się tak nie zachowywali. Opieka nad dziećmi była domeną kobiet. A potem nastąpiło załamanie, ale ja byłam za mała, by je rozpoznać. Mogłam zadać to pytanie mamie, zapytać wprost, co dzieje się z ojcem, dlaczego coraz bardziej zamyka się w sobie, oddala. No i dlaczego nie śpi po nocach.

Bo w domu się milczało.
Tak, o wielu rzeczach się nie mówiło. To symptomatyczne, że o tym, iż moja babcia uratowała żydowskie dziecko, dowiedziałam się od obcego człowieka. Sąsiadki babci Broni w małym mieście, jakim był Przemyśl, raczej nie pochwaliłyby jej za odwagę. Słowo „Żyd" ciągle było słowem tabu. Babci Broni w ogóle by przez myśl nie przeszło, że można je swobodnie użyć przy dziecku. Za to należało za nim biegać z garnuszkiem pełnym pozimek ze śmietaną, mimo że to dziecko się buntowało. Dziś wspominam to z czułością, wtedy to był niezły obciach.

Z książki wynika, że twoim życiem rządzą przypadki.
Nie wiem, może sama je prowokuję, ale przypadkiem natknęłam się na pana Bolesława, przypadkiem dowiedziałam się o tym, co zrobiła moja babcia, kolejnym przypadkiem było spotkanie rodziny ze strony ojca, której wcześniej nie znałam. Opowiedzieć ci, jak do tego doszło?

Opowiadaj.
Pewnego razu mój brat poszedł do lekarza, którego nie tyle zastanowiło jego zdrowie, co fakt, że ma kolegę ze studiów, który nosi to samo imię i nazwisko, a na dodatek urodził się w tym samym roku co Maciek. Od słowa od słowa i tak poznaliśmy naszego najbliższego kuzyna Maćka. Okazało się, że ma on młodszą siostrę Alicję. Parę lat temu umówiliśmy się wszyscy na Kazimierzu. Nigdy nie zapomnę, jak do „Kolanka" wszedł nieznany mi wcześniej Maciek. Nagle w drzwiach zobaczyłam mężczyznę tego samego wzrostu co mój ojciec, wyglądającego identycznie jak on, mającego ten sam tembr głosu, podobnie gestykulującego. Ale to nie wszystko. Za chwilę odkryliśmy, że nasze dzieci noszą te same imiona, mamy podobne zainteresowania, pasje. Wymyśliłabyś to? Krok po kroku okazywało się, że nie znając się, nie mając ze sobą kontaktu, dokonywaliśmy w życiu bardzo podobnych wyborów. Jak widać, genów nie da się oszukać.

Co ważnego jeszcze przyniosła ci ta podróży w przeszłość?
Odkrycie prostej prawdy, że nie muszę mieć na wszystkie pytania odpowiedzi. I że nie jestem w tym sama. Są ludzie, którzy podobnie jak ja czują, że niosą w sobie jakąś tajemnicę, którą odziedziczyli po przodkach i być może nigdy jej nie odkryją. Dla nich też jest ta książka. Dzięki niej może zrozumieją, co sprawia, iż odczuwają wewnętrzny niepokój. Pewnie mogłabym dalej szukać, może bym na coś trafiła, poszła za tym, a wrodzona ciekawość nie pozwoliłaby mi odpuścić. Ale zatrzymałam się, postawiłam kropkę. I dlatego ta książka kończy się cytatem z Thomasa Manna: „Cisza zmusza, abyśmy nasłuchiwali wszystkiego, co nie jest w niej zupełnie ciche".

SPOTKANIE



Magda Huzarska-Szumiec, „Dlaczego mój ojciec nie mógł zasnąć. O dziedziczeniu milczenia i traumy" Wydawnictwo: Wielka Litera Warszawa 2026

eprasa.pl 1f08a8ac7c

Polska
Poniedziałek, 13.04.2026

Niezwykła historia obrazu z koszalińskiej katedry

Katedra pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny (NMP), zbudowana w latach 1300–1333, to najstarsza świątynia w Koszalinie. Przez kolejne wieki była wielokrotnie przebudowywana i modernizowana. Mało kto jednak wie, że jeden z wiszących tutaj obrazów skrywa wielki sekret

Piotr Polechoński

Obraz zobaczymy, gdy wejdziemy do świątyni głównym wejściem i spojrzymy w lewo na jedną ze ścian. Wisi na niej malowidło przedstawiające Chrystusa w chwili zmartwychwstania - klasyczne kościelne dzieło, jakich wiele. Nic bardziej mylnego! Przez długi czas widniał na nim wizerunek Matki Boskiej.

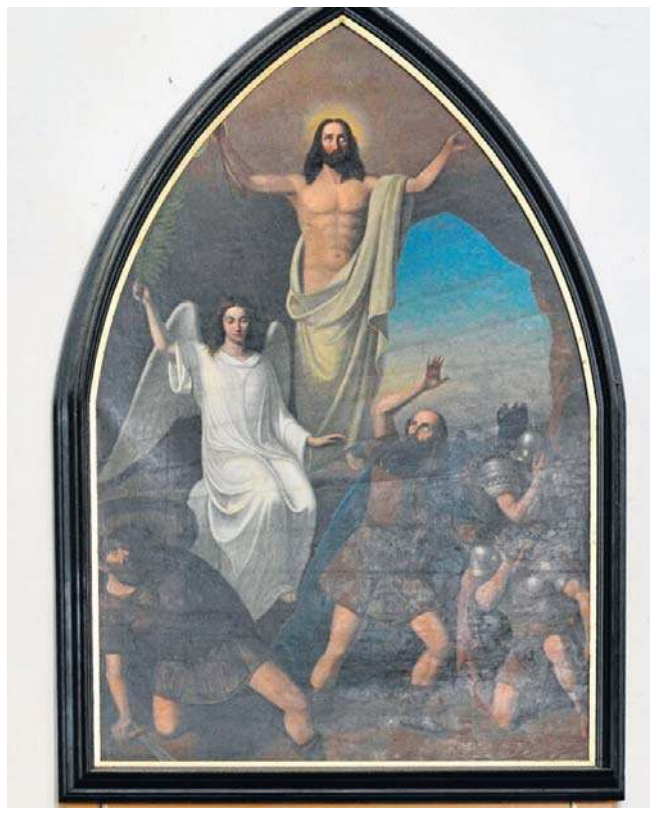
Jak to się stało? Sekret obrazu ujawnia fotografia wykonana w latach 60., na której uwieczniono dawny wygląd głównego ołtarza w katedrze. Na zdjęciu widać od razu, że ołtarz znacząco różni się od obecnego. Główną jego częścią był obraz z namalowaną sceną Wniebowzięcia Maryi. Co się stało z wizerunkiem Matki Boskiej wstępującej do Nieba? Gdzie się teraz znajduje? Okazuje się, że nigdy nie opuścił katedry. Zmienił tylko miejsce, a Maryja ustąpiła miejsca swojemu synowi. Innymi słowy, Matka Boska widoczna na starym zdjęciu oraz Zmartwychwstały Jezus, którego oglądać można do dzisiaj na jednej z katedralnych ścian, to ten sam obraz.

Jak doszło do zamiany postaci? Obraz przedstawiający Chrystusa w chwili zmartwychwstania został namalowany w połowie XIX wieku. Stał się wówczas głównym elementem nowego ołtarza katedralnego, który bez większych zmian przetrwał do końca wojny. Po jej zakończeniu Koszalin znalazł się w granicach powojennej Polski, a do tej pory protestancki kościół stał się świątynią katolicką. Polskość Koszalina trzeba było zbudować od zera, na samym więc początku ważna była symbolika, która ukazywałaby ten proces oraz jego nieodwracalność. Wtedy postanowiono m.in., że obraz w kościele katedralnym zostanie przemalowany, aby podkreślić nowy, polski rozdział w historii miasta. W ten sposób Zmartwychwstałego Chrystusa zastąpiła Matka Boska wstępująca do nieba. Zamiana ta odznaczała się dodatkowo narodową wymową, bowiem kult maryjny w Polsce miał od dawna olbrzymie znaczenie.

Na początku lat 70., gdy powstała diecezja koszalińsko-kołobrzeska, podjęto decyzję o regotycyzacji świątyni, czyli o powrocie do wcześniejszego wyglądu obiektu, sprzed jego przebudowy. Wtedy też zapadła decyzja o rozebraniu ołtarza i zastąpieniu go rekonstrukcją z 1512 roku. Historyczny ołtarz zdemontowano w połowie XIX wieku, a część tworzących go rzeźb umieszczono w różnych miejscach katedry. Część bezpowrotnie zaginęła. Przepadła też okazała szafa ołtarzowa wraz z dwoma malowanymi skrzydłami. Obraz z Matką Boską, poddany pracom rekonstruktorskim, powrócił do swej pierwotnej wersji i odzyskał wizerunek Jezusa Chrystusa, który odtworzono spod wierzchniej warstwy farby. Dziś w tej właśnie postaci można oglądać obraz w koszalińskiej katedrze.

Pierwsza historyczna wzmianka o kościele pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia NMP w Koszalinie pochodzi z 1333 r. Jak pisze W. Haken w swej „Konice koszalińskiej" z 1767 roku, kościół powstał „z dobroci serca ofiarodawców." Na Górze Chełmskiej istniała w tamtym czasie kaplica z cudownym obrazem Matki Boskiej Saskiej, który przyciągał do Koszalina licznych pielgrzymów. Datki na budowę nowego kościoła zbierały od przybyłych siostry cysterki. W powstanie nowej świątyni finansowo włączyli się również mieszkańcy Koszalina oraz rada miejska. Można przypuszczać, że budowa postępowała bez zastojów i mogła trwać około 30 lat.

Źródła historyczne wzmiankują, że około 1310 roku wokół Koszalina powstawały mury miejskie. W pobliżu miasta stanęło siedem pieców do wypalania cegły, wykorzystujących okoliczne złoża gliny. Wydaje się prawdopodobne, że stamtąd pochodziła cegła użyta do budowy kościoła farnego. Obserwacje zdają się potwierdzać przypuszczenie, bowiem cegły tworzące miejskie mury są podobnej wielkości do tych z zabudowy kościoła.



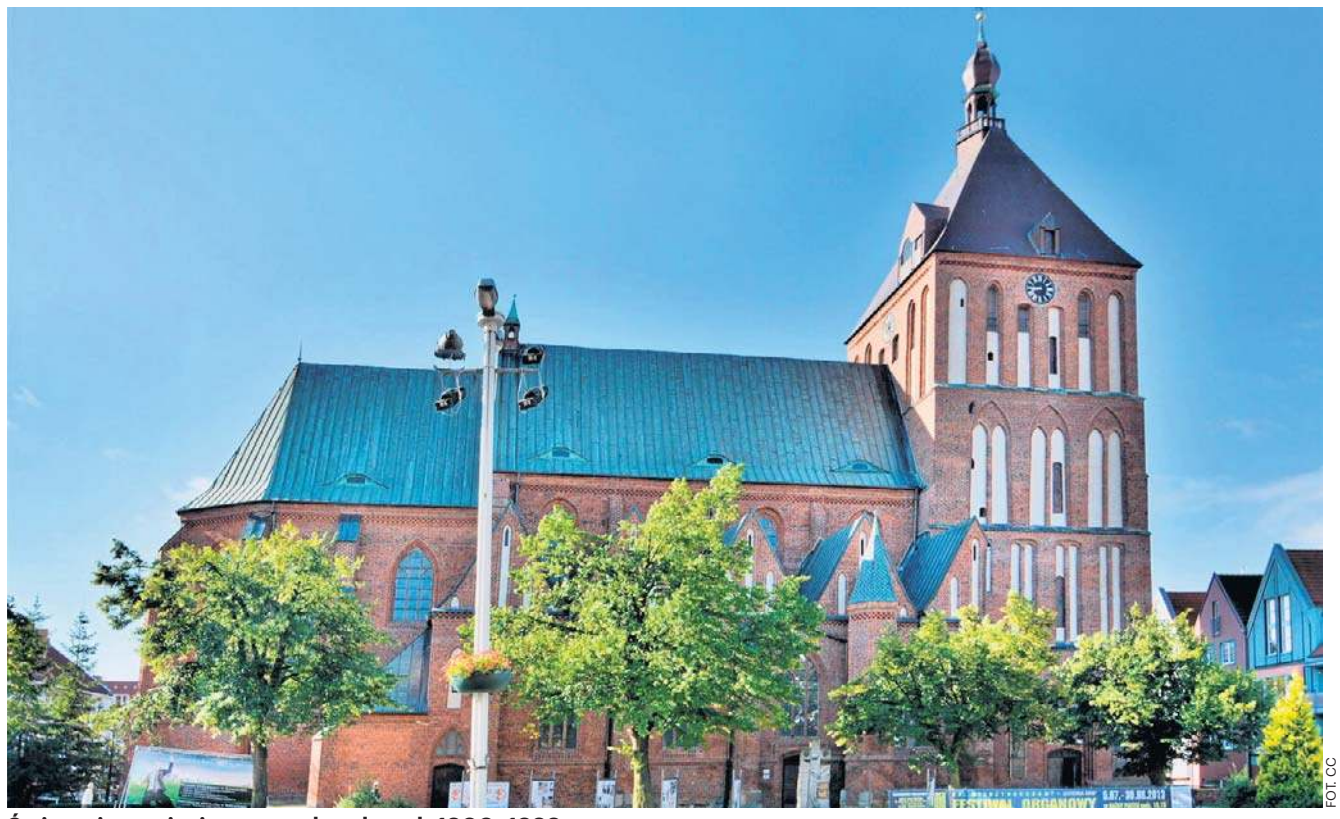
FOT. CC

Dziś obraz ze zmartwychwstałym Chrystusem wisi w katedrze na bocznej ścianie



FOT. RADEK KOLEŚNIK/ARCHIWUM CZYTELNIK

Wcześniej zdobił główny ołtarz, ale z Matką zamiast Syna



FOT. CC

Świątynia wzniesiona została w latach 1300–1333

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 1f08a8ac7c

Razem Najlepiej



Agnieszka i Tomasz Szymczak

Diana i Jakub Miziołek

Oto zwycięskie pary w akcji razem najlepiej
Oto Oni - bohaterowie tych stron, czyli pary, które w plebiscycie Razem Najlepiej 2026 zyskały sympatię głosujących, zajmując I miejsca w swoich miastach i powiatach.
To pary, które na co dzień tworzą swoje „razem" w zwykłych dniach, wspólnych decyzjach, rozmowach i zwyczajach. Te spojrzenia, uśmiechy i gesty mówią więcej niż tysiąc słów! Każda z tych miłosnych historii jest inna, ale łączy je jedno - relacja budowana nie od święta, ale każdego dnia. Poznajcie zwycięzców etapu powiatowego - ludzi, których zdjęcia i historie przyciągnęły uwagę głosujących i zostały przez nich docenione.
To ich chwila. Ich RAZEM NAJLEPIEJ.

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl 1f08a8ac7c

RAZEM NAJLEPIEJ



Weronika Kowalska i Patryk Mazur
Warszawa



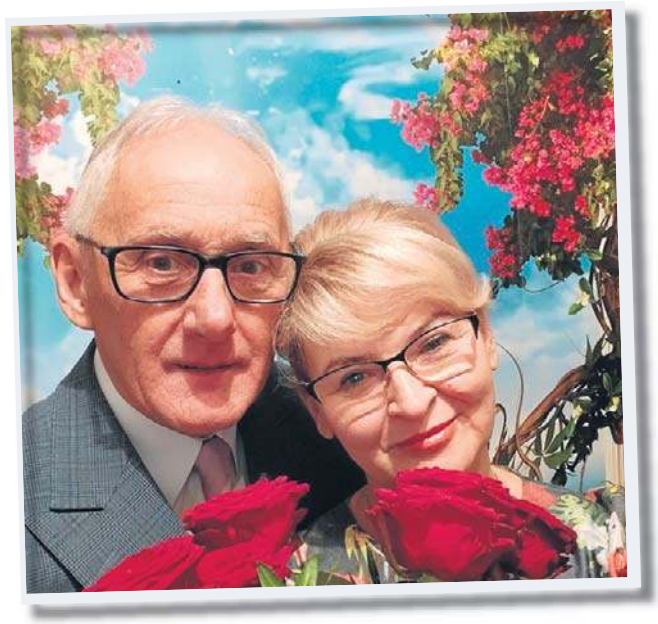
Magdalena i Łukasz Barszcz
Radom



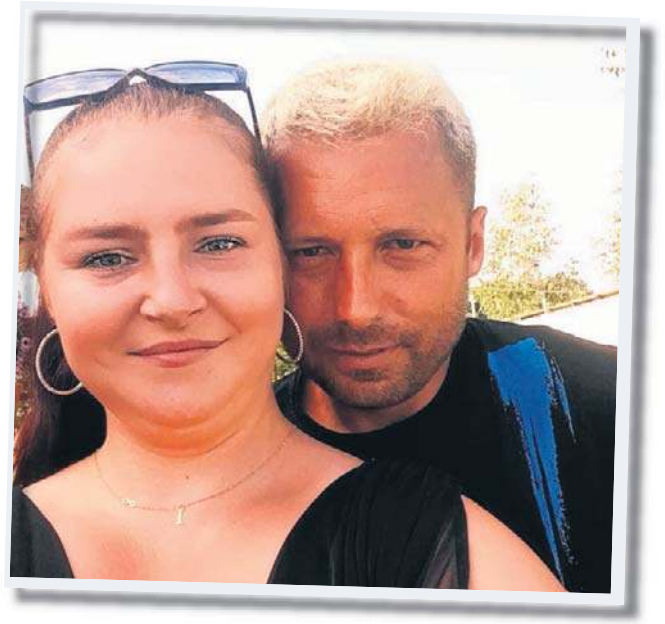
Emilia i Damian Mitura
Siedlce, powiat siedlecki i powiat łosicki



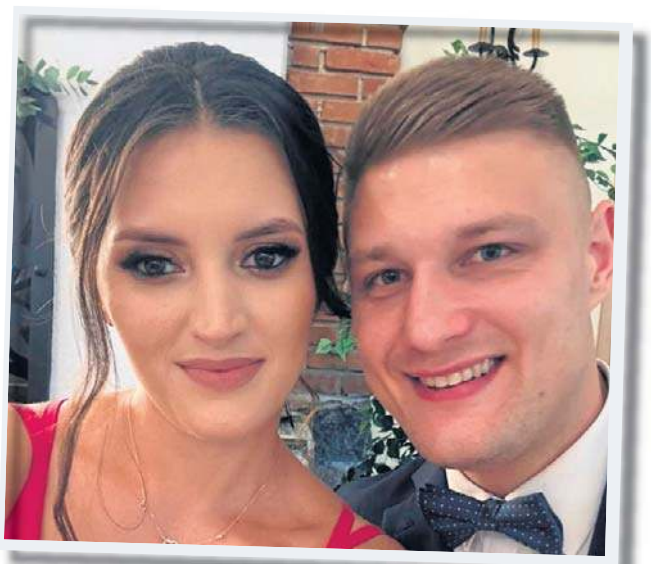
Diana i Jakub Miziołek
powiat białobrzeski i powiat kozienicki



Iwona Pietrzak i Tadeusz Szmigielski
powiat ciechanowski i powiat płoński



Iwona Płatkowska i Piotr Dłuski
powiat garwoliński i powiat miński



Natalia Kanicka i Jarek Rutkowski
powiaty grodziski i i powiat żyrardowski



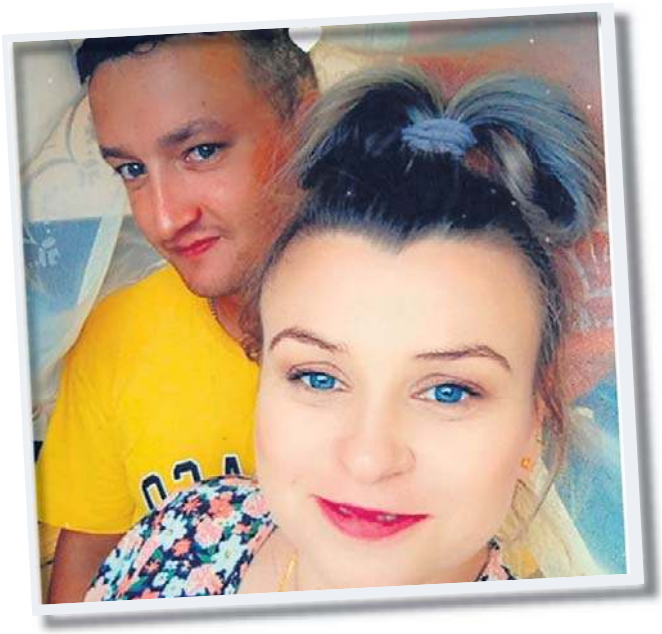
Magdalena Sobczak i Piotr Kazimierczak
powiat grójecki i powiat piaseczyński



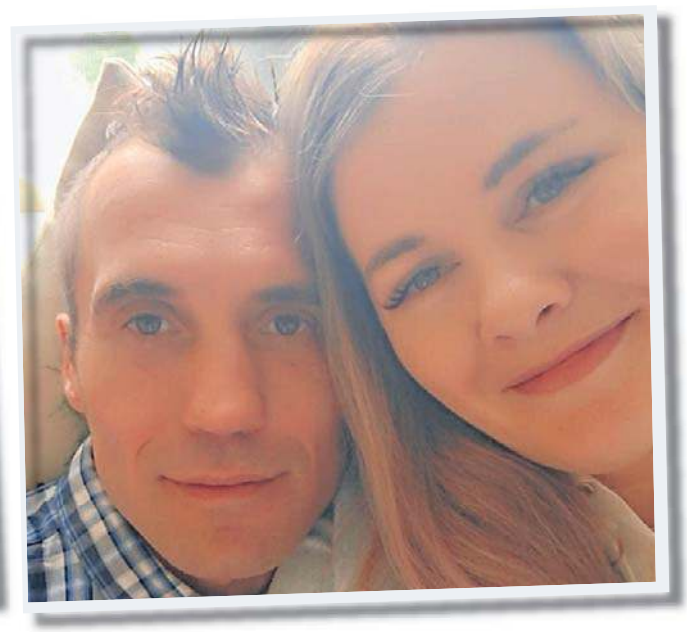
Edyta Majer i Adam Dąbrowski
powiat legionowski i powiat nowodworski

eprasa.pl 1f08a8ac7c

RAZEM NAJLEPIEJ



Klaudia i Damian Antonik
powiat lipski i powiat zwoleński



Lidia Gutowska i Zdzisław Witkowski
powiat makowski i powiat przasnyski



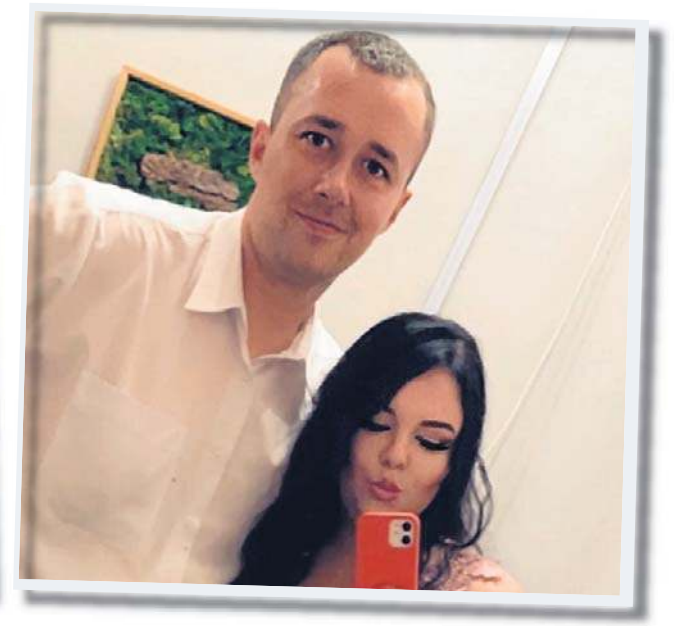
Agnieszka Kociszewska i Piotr Czerwieniec
powiat otwocki



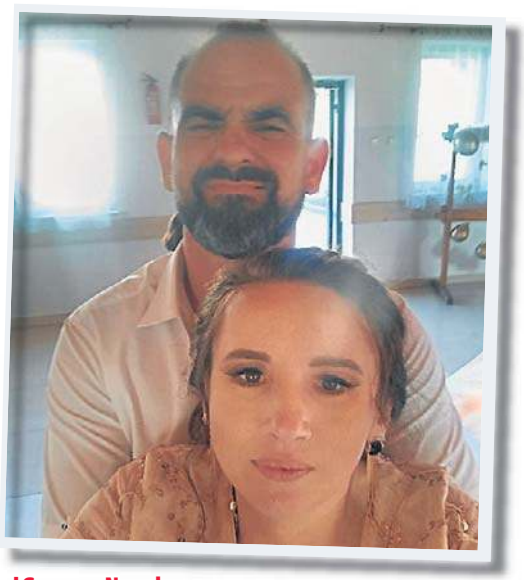
Aleksandra Sasal i Adrian Czarnota
powiat przysuski i powiat szydłowiecki



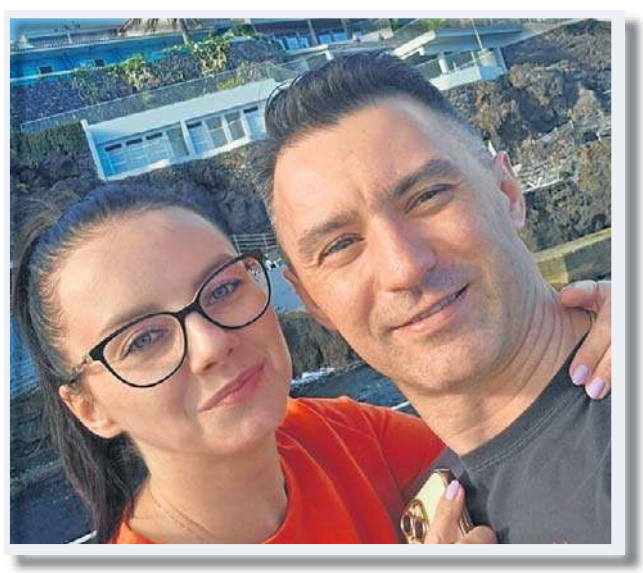
Monika Myszka i Mikołaj Myszka
powiat radomski



Ewelina Grzybek i Daniel Zadrożny
powiat sochaczewski i powiat warszawski zachodni



Zuzanna i Grzegorz Nowakowscy
powiat sokołowski i powiat węgrowski



Dorota i Michał Maleszewscy
powiat wołomiński



Aneta i Przemysław Antosiewicz
Warszawa

eprasa.pl 1f08a8ac7c

RAZEM NAJLEPIEJ



Olga i Dominik Dzwonkowscy
Ostrołęka, powiat ostrołęcki i powiat ostrowski



Aneta i Michał Bejman
Płock, powiat płocki i powiat gostyniński



Anna Kołodyńska i Mateusz Kołodyński
Radom



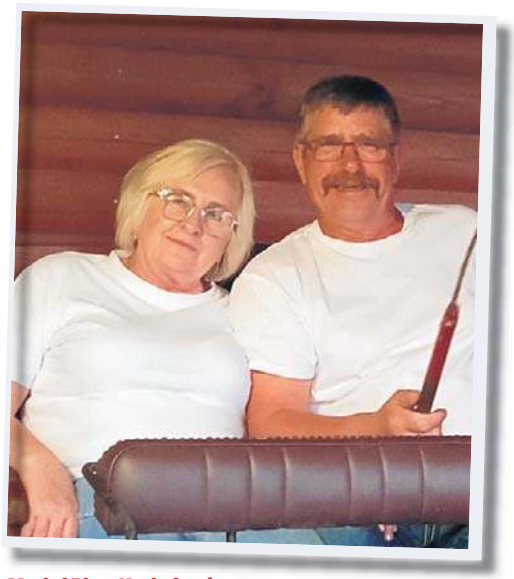
Iwona i Daniel Postrzygacz
Siedlce, powiat siedlecki i powiat łosicki



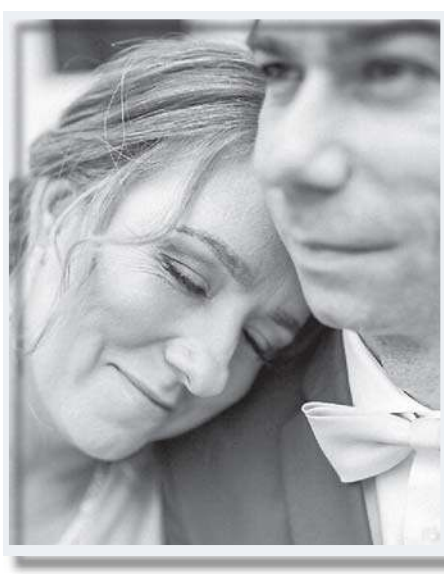
Katarzyna i Konrad Lach
powiat białobrzeski i powiat kozienicki



Ewa i Bernard Kowalscy
powiat ciechanowski i powiat płoński



Maria i Piotr Kazimierak
powiat garwoliński i powiat miński



Agnieszka i Paweł Nazarow
powiaty grodziski i i powiat żyrardowski



Marta i Daniel Kowalscy
powiat grójecki i powiat piaseczyński



Anna i Marek Zalewscy
powiat legionowski i powiat nowodworski

eprasa.pl 1f08a8ac7c

RAZEM NAJLEPIEJ



Jolanta i Grzegorz Ruta
powiat lipski i powiat zwoleński



Joanna i Sławomir Wiszniewscy
powiat makowski i powiat przasnyski



Beata i Robert Bogusz
powiat otwocki



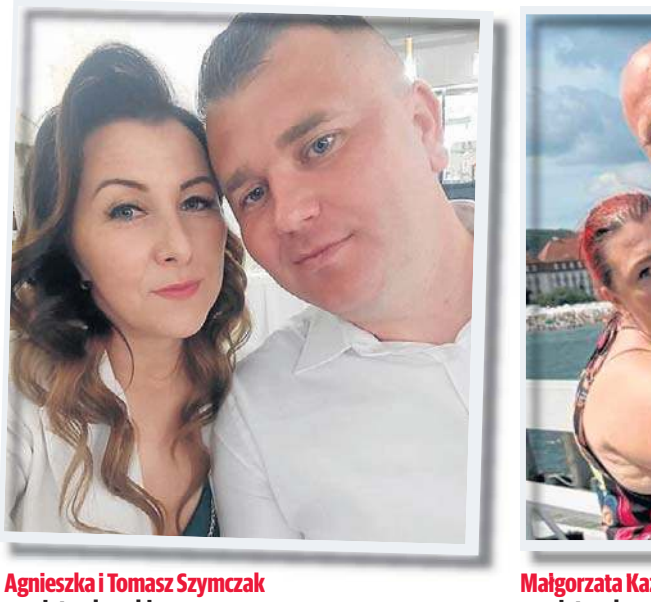
Katarzyna i Grzegorz Waleczko
powiat pruszkowski



Karolina i Grzegorz Derleta
powiat przysuski i powiat szydłowiecki



Małgorzata i Wojciech Maciejewscy
powiat pułtuski i powiat wyszkowski



Agnieszka i Tomasz Szymczak
powiat radomski



Małgorzata Kaźmierczyk i Piotr Artur Jaczyński
powiat sochaczewski i powiat warszawski zachodni



Urszula i Andrzej Fiedorczuk
powiat sokołowski i powiat węgrowski

Barbara Dmowska-Pancek i Krzysztof Pancek
powiat wołomiński

eprasa.pl 1f08a8ac7c

pod PARAGRAFEM

W KSIĘGARNIACH

Trzeba było trzymać się z dala, bejbe!
Do sprzedaży trafia właśnie „Ostatniej nocy" – psychothriller Kathryn Croft (wyd. Mova). Rozpoczyna się w chwili, gdy bohaterka trafia do domu nowej znajomej. Jej wzrok zatrzymuje się na zdjęciu ślubnym, na którym rozpoznaje pana młodego – to mężczyzna, z którym spędziła noc kilka dni wcześniej. Teraz wie także, że został zamordowany.

ZA TYDZIEŃ

Mord Belwederski. Śmierć Franciszka Koryzmy
Ta sprawa, prócz zaginięcia gen. Zagórskiego i otrucia gen. Rozwadowskiego, należy do tzw. kanonu niewyjaśnionych spraw II RP.



FOT. CC

Przemytnicze szlaki PRL-u. Co przewozili polscy handlarze?

Anita Czupryn, żar, strzyg
redakcja@polskatimes.pl

Niedobory PRL tworzyły rajskie warunki dla przemytu. Przemycano opony rowerowe, kożuszki, platynę, kryształowe wazony, trójrzędowe grzebyki, biseptol, a nawet politurę do mebli czy klej.

Zjawisko to doczekało się swojej nazwy: handel turystyczny, i obrosło w mnóstwo anegdot i legend, żeby na stałe wejść do popkultury. Fenomen ten w sposób dość przewrotny reżyser Jerzy Gruza wykorzystał nawet w „Czterdziestolatku", wysyłając Stefana Karwowskiego z polskim chodliwym kryształem do Budapesztu.

500 serwetek z plastiku

Handlem turystycznym zajmowali się niemal wszyscy, którzy mieli możliwość wyjazdu za granicę. Możliwość ta wydatnie zwiększyła się po odwilży 1956 r., głównie do bratnich krajów tzw. bloku wschodniego, ze szczególnym uwzględnieniem ZSRR. Ideą komunistycznej władzy była chęć integracji obywateli państw demokracji ludowej, dzięki czemu wyjazdy zagraniczne wydatnie obywatelom ułatwiono. Można było poruszać się po sąsiednich krajach dzięki specjalnym kartom, które wydawały lokalne władze, albo – później – za pomocą tzw. wkładek paszportowych.

Stanisław Milewski, dziennikarz i pisarz, w artykule „Specjalność PRL-u – przemyt" przypomina jednak, jak w 1957 r. na fali odwilży i związanej z nią rzekomej jawności życia publicznego „Trybuna Ludu" opisała przypadek dwóch dygnitarzy – dyrektora Centralnego Zarządu Aptek i dyrektora gabinetu prezesa GUS – którzy zorganizowali sobie wyjazd do ZSRR. „Pierwszy zaopatrzył się w kilkanaście sztuk kompletów damskiej bielizny, męskich koszul milanezowych, kilka garniturów, parę swetrów i dwa płaszcze gabardynowe. »Spylił« to wszystko w Moskwie za 8 tysięcy rubli, ale nie kupił nic za tę kwotę, bo już go celnicy odnotowali.



FOT. CC

W latach 70. płaszcz ortalionowy kosztował w Austrii trzy dolary, a jego cena w polskim komisie wynosiła 1,5 tysiąca złotych. Dolar na czarnym rynku kosztował 120 zł

Szef gabinetu prezesa GUS-u miał pecha jeszcze większego. Wywiózł wprawdzie tylko 500 serwetek z plastiku, które mu skonfiskowano – nie byłoby w tym nic strasznego, ale w Odessie, gdzie poleciał z Moskwy, by kupić platynę i indyjskie szmaragdy, znaleziono z a podszewką jego walizki ponad 93 tys. rubli i cztery złote damskie zegarki. Tamtejszy sąd skazał go na siedem i pół roku więzienia".

Handlarskie mrówki

To jednak nie zrażało przedsiębiorczych, pełnych inicjatywy i talentów do ryzyka Polaków. Żaden wyrok i żadna kara nie mogły ich powstrzymać, bo też rynek w Polsce ogołocony był niemal ze wszystkiego, a w takich na przykład Czechach rarytasy, jak gumy do żucia, nylonowe skarpetki czy biżuteria, choćby sztuczna, w każdym sklepie. O ile początkowo handlujących turystów można było liczyć w tysiące, to w końcówce lat 80. były to już miliony.

Sportowcy, zwłaszcza ci najlepsi, wyjeżdżający za granicę na liczne zawody czy na olimpiady, mieli dość ułatwioną sprawę. Nawet przyłapani na przemycie, jak oszczepnik Janusz Sidło czy Władysław Komar – najlepszy polski miotacz kulą, mistrz olimpijski z Monachium w 1972 r. – mogli liczyć na przymknięcie oczu przez władze i uznanie sprawy za niebyłą. Gorzej, kiedy do przemytu, zwłaszcza dewizami, brali się mniej znani sportowcy z mniej popularnych dyscyplin, jak np. brydżyści – ich sprawy skończyły się procesami i wyrokami. No, ale było i tak, że sportowcy, którzy wrócili do Polski po olimpiadzie zimowej w Grenoble w 1968 roku, nie tylko nie przywieźli medali, ale na dodatek i kożuszków, w które wyposażył je PKOl.

Okazało się, że posprzedawali je po 180-200 dolarów. Polski trener kolarzy w 1974 r. sprzedał w Wiedniu 200 opon rowerowych z państwowych zapasów, za co kupił używanego volkswagena busa. Przed sądem tłumaczył się, że związek kolarski nie mógł im kupić auta, bo nie miał na to pieniędzy. Sprawę również zatuszowano.

Muzycy na bazarze

W uprzywilejowanej sytuacji byli dyplomaci, oficerowie wywiadu i kurierzy MSW – ci bez problemu przemycali do Polski złote 20-dolarówki, sztabki złota czy tysiące dolarów. Z nostalgią wspominają swoje trasy koncertowe po krajach bloku wschodniego czy na Zachodzie polscy artyści estradowi i znani muzycy. Jechali nie tylko po sławę, ale też materialne dobra, za które, bywało, mogli trzymać się uw Polsce wiele miesięcy.

Marek Karewicz i Marcin Jacobson w książce „Big-beat" zawarli mnóstwo anegdot z tamtych czasów. Na przykład o najsłynniejszym polskim wokaliście tamtych czasów Czesławie Niemenie, który – będąc w Londynie, gdzie nagrywał płytę – miał możliwość poznać światową śmietankę artystyczną. Przedstawiciel wytwórni załatwił mu zaproszenie na bankiet Roda Stewarta, absolutnie topowego brytyjskiego piosenkarza rockowego i popowego. Ale polski wokalista zignorował zaproszenie – zamiast na bankiet wybrał się na przedmieścia Londynu po opony do samochodu, na które była akurat promocja.

W ZSRR trasy koncertowe polskich artystów trwały szczególnie długo. I wszystkich to niezmiernie cieszyło – zarabiali w rublach transferowych, które były wymienialną walutą. No i, co miało niebagatelne znaczenie, zagraniczne honoraria nie były w Polsce opodatkowane. Ale ci, którzy mieli smykałkę do interesów, nie pogardzili też handlem. Za zarobione pieniądze robili zakupy i szmuglowali do Polski z tych artystycznych wojaży złoto, brylanty czy ikony.

„Biały Łabędź"

Maryla Rodowicz wielokrotnie w wywiadach przyznawała, że jej międzynarodowa kariera dotyczyła głównie krajów bloku wschodniego: ZSRR, Czechosłowacja, NRD, Węgry. – Pieniądze, które przywoziłam z Rosji w latach 80., wystarczały na pół roku. Grałam dwumiesięczne trasy i koncerty w największych halach. Podobnie było z pieniędzmi zarobionymi w klubach polonijnych w Chicago, Nowym Jorku. Potem mogłam siedzieć z dziećmi w domu. Pamiętam pierwszy wyjazd do Stanów w 1978 r. Obiad w McDonaldzie z czerwonym dachem znanym z filmów – to było przeżycie – opowiadała. Nasza gwiazda szczególnie popularna była w ZSRR, na jej koncerty przychodziło po 10 tys. ludzi. A po koncertach bankiety do rana, suto zastawione stoły kawiorem i wędzonymi jesiotrami, mięsami w liściach winogron.

Znany powieściopisarz i dramaturg Janusz Głowacki w swojej barwnej autobiografii „Z głowy" wspomina: „Pożyczałem w Warszawie parę złotych, kupowałem kryształowe wazony, które dobrze szły w Czechach, oraz bieliznę pościelową i trójrzędowe plastikowe grzebyki, na które był popyt w Bukareszcie. I jeżeli celnicy przymykali oko, upłynniališmy towar na ulicach, a także chodząc po domach. Następnie udawaliśmy się do sklepów w Pradze. Najlepiej się do tego nadawał legendarny dom towarowy »Biały Łabędź«. Tam nabywaliśmy francuskie składane fajki marki Briar, które w Polsce wstawiało się do komisu na Nowym Świecie przy Chmielnej za dwieście pięćdziesiąt złotych".

Polacy równie chętnie co do moludy odwiedzali kraje państw zachodnich, jak Austria czy Szwecja, gdzie również zniesiono dla nas wizy. Atrakcyjnym kierunkiem podróży turystyczno-handlowych były też Jugosławia i Turcja.

Celnik ma rozkazy

Otrzaskani bywalcy turystycznego handlu mieli swoje kupieckie trakty – do Turcji udawali się przez kilka krajów, zaliczając Lwów, gdzie sprzedawali dżinsy, a kupowali towar, który akurat cieszył się popularnością na Węgrzech czy w Rumunii. To dzięki artykułom przywożonym z zagranicy w Polsce niczym grzyby po deszczu wyrastały wspomniane już komisy, ale najczęściej jednak sprzedaż odbywała się przez sieć prywatnych kontaktów.

Władza częstokroć przymykała na to oko, wpisując czarny handel we wspomaganie rynkowych niedoborów, ale handlarze niejednokrotnie musieli dysponować łapówkami dla celników czy straży granicznej. Oficjalnie jednak celnicy mieli przykazane, aby tępić tę prywatną inicjatywę rodaków. Sprawami związanymi z przemytem zajmowała się Służba Bezpieczeństwa, skrupulatnie odnotowując wywożone czy zatrzymane towary.

Bagaże na lotniskach czy granicach były więc precyzyjnie przepatrywane – ręcznie, bo nie było wówczas skanerów. Nic więc dziwnego, że pomysłowi handlarze robili, co mogli, aby wywieźć, a potem przywieźć do kraju jak najwięcej towaru. Legendarne stały się specjalne schowki w prywatnych samochodach. Towar pakowano w koła, pod deskę rozdzielczą, w dodatkowy bak. Ciuchy nakładano na siebie (jednej pani udało się rekordowo włożyć 15 kożuchów naraz), złoto wciskano w mydła, nadziewano nim kiełbasy albo pakowano w obcasy butów.

Aby przemycić wiertła do Jugosławii, przemytnicy szyli specjalne kamizelki z kieszonkami wewnątrz, w które je upychali. Pomysłowość Polaków nie znała granic.

eprasa.pl 1f08a8ac7c

CAŁEJ POLSKIEJ PIŁCE BĘDZIE CIEBIE BRAKOWAŁO, JACKU...

Adam Godlewski
redakcja@polskapress.pl

Niezwykle trudno jest pogodzić się z myślą, że odszedłeś tak wcześnie, o wiele za wcześnie, Jacku... Szok, żal i niedowierzanie pozostaną na długo z ludźmi, którzy Cię szanowali. A szanowaliśmy wszyscy...



FOT. ŁUKASZ SZAŁKOWSKI/POLSKA PRESS

Odszedłeś zdecydowanie za wcześnie, Jacku... Spoczywaj w pokoju

Zanim dotarło do mnie, że Jacek Magiera nie żyje, minęła niejedna dłuższa chwila, nie mogłem uwierzyć, że tragiczna wiadomość na pewno dotyczy właśnie tego młodego - zaledwie 49-letniego - wysportowanego i nienagannie prowadzącego się mężczyzny.

Jeśli miałbym określić Jacka jednym słowem, użyłbym epitetu: dojrzały. „Magic" był taki już jako junior (poznaliśmy się tuż po zdobyciu przez polskich juniorów tytułu mistrza Europy w kategorii U-16 w 1993 roku), świetnie panował nad emocjami, był ponad wiek ogarnięty jeśli idzie o życiową inteligencję; nie tylko tę boiskową, choć na placu gry też w wieku 20 lat był gotowy na występy w walczącej o najwyższe trofea Legii.

Nie zaniedbał przy tym edukacji, mimo przeprowadzki z Częstochowy (i Rakowa) do stolicy i ograniczeń - przede wszystkim czasowych - które w tym zakresie niesie kariera zawodowego piłkarza, skończył wyższe studia na wydziale historycznym. I odkąd pamiętam - był naturalnym liderem, urodził się z takimi predyspozycjami. Paweł Janas nawet się nie zastanawiał przejmując młodzieżówkę, która walczyła o igrzyska w Sydney w roku 2000, kto dostanie opaskę, tylko po prostu wręczył ją Jackowi. I bardzo mu zaufał, „Magic" był rzeczywiście prawą ręką trenera, i to nie tylko podczas meczów.

Jako młody, „szalejący" reporter byłem odpowiedzialny w redakcji „Przeglądu Sportowego" za tamtą młodzieżową kadrę. Jeździłem na - zdecydowaną - większość meczów i zgrupowań, które odbywały się głównie w miejscowości Dąb Polski niedaleko Płocka, gdyż to obiekt tamtejszej Wisły był areną eliminacyjnych meczów zespołu Janasa. Magiera miał u trenera specjalne prawa, wypowiadał się na tematy związane z organizacją treningu bodaj na równi z szefem banku informacji, którym był Maciej Skorża. A gdy temu drugiemu nie udało się właściwie „przeczytać" lewej nogi Franka Lamparda przed konfrontacją z Anglią, potrafił z tego faktu publicznie zażartować (co także dowodziło jego pozycji w grupie) - tyle że w sposób taktowny, subtelny. Bo to także cechowało tego pasjonata futbolu, któremu Janas zmienił pozycję - ze stopera na defensywnego pomocnika, zamieniając na boisku z Maciejem Terleckim. To - czyli wysoka kultura osobista.

W pamięci utkwił mi moment, gdy dzień przed rozpoczęciem kwalifikacji młodzieżowego Euro w Bułgarii Jacek zadzwonił do mnie tuż przed północą, abym pomógł mu... zebrać resztę kadry z dyskotek w okolicach Złotych Piasków. Takie były czasy, taka (niska) świadomość profesjonalizmu u ówczesnych młodzieżowców, ale i z takim niestandardowym wyzwaniem doskonale sobie poradził. Przypominam ten epizod, aby oddać, jak bardzo czuł się odpowiedzialny za zespół, i ile był w stanie zrobić i poświęcić dla grupy, w której funkcjonował. On - zawodowiec w każdym calu, który niczego nie robił na pół gwizdka.

W rozmowach lubił podkreślać, że w reprezentacjach młodzieżowych - licząc od najmłodszych roczników - rozegrał 99 meczów i zabrakło tylko tego setnego - w pierwszej reprezentacji Polski. Zabrakło pewnie trochę szczęścia - i być może pewnej dozy dynamiki, którą dysponowali konkurenci do gry w dorosłej kadrze - ale „Magic" nigdy nie rozdzierał szat z tego powodu. Bo mimo studiów na historii od początku miał klarowny pomysł na siebie po karierze; w życiu zawodowym chciał być trenerem, w prywatnym głową rodziny, tatą Jasia i Małgosi. Współtworzył w Legii Młode Wilki, aby dzieci miały gdzie spotykać się z futbolem, w czasach, gdy (prawie) nikt nie myślał jeszcze o szkoleniu w akademiach.

Jako piłkarz zapisał się w historii Legii - nie tylko tytułem mistrzowskim, ale też i piękną bramką wbitą wielkiej Wiśle Kraków we wrześniu 2003 roku. Jako szkoleniowiec również pobierał szlify w klubie z Łazienkowskiej - specjalizował się w trudnych przypadkach, co może potwierdzić... Kamil Grosicki - którego starał się trzymać w ryzach, ale była to edukacja bardzo udana. I owocna. Jacek w nagrodę rozegrał z Legią niezapomniane mecze w Lidze Mistrzów - zremisowany z galaktycznym Realem Madryt i zwycięski ze Sportingiem Lizbona, wywalczył tytuł mistrza Polski. Walory swego warsztatu potwierdził tytułem wicemistrzowskim ze Śląskiem Wrocław. „Po drodze" był selekcjonerem kadry U-20, zasmakował startu w mistrzostwach świata w tej kategorii wiekowej - na polskich boiskach.

Co ważne, Jacek zawsze był taki sam. Spokojny, opanowany, zachowywał zimną krew. Nawet wówczas, gdy został w Legii skreślony jako zawodnik przez Franciszka Smudę i musiał przejść na - chwilowe - wypożyczenie do Widzewa. Rozmawialiśmy dosłownie chwilę po tamtej decyzji, ale dzwoniąc do mnie „Magic" już na chłodno analizował scenariusze na jutro, nie rozdrapywał ran; choć mógł i w zasadzie powinien.

Był pasjonatem, ale - może zresztą przede wszystkim - perfekcjonistą. Mocno, od zawsze i do końca, pracował nad samorozwojem, dużo dawał od siebie. Nie załamywał się na zakrętach, nie odlatywał po sukcesach. Zawsze pozostawał sobą, to znaczy dojrzałym facetem, co w pewnym momencie podkreśliła tylko przedwczesna siwizna.

Takim właśnie Jacku Cię zapamiętam... Miałeś wszystko, aby zostać selekcjonerem pierwszej reprezentacji Polski - w każdym wymiarze, zarówno warsztatowym, jak i tym ludzkim, również etycznym... Odszedłeś za wcześnie, zdecydowanie za wcześnie...

Żegnaj. Polskiej piłce będzie Ciebie brakowało... ©℗

Jacka Magierę pożegnali prezydent i reprezentanci

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

W piątek, 10 kwietnia polski futbol pogrążył się w żałobie. W wieku 49 lat niespodziewanie zmarł Jacek Magiera - były piłkarz, trener, ostatnio asystent selekcjonera reprezentacji Polski.

Szkoleniowiec zasłabł podczas treningu i mimo interwencji lekarzy zmarł. Drugiego trenera reprezentacji pożegnali prezydent RP Karol Nawrocki, prezes PZPN Cezary Kulesza, UEFA, a także reprezentanci Polski, m.in. Sebastian Szymański, Matty Cash oraz Robert Lewandowski.

W piątkowy poranek, Magiera wyszedł pobiegać i nagle zasłabł. Przewieziono go do Wojskowego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu. Niestety, akcja reanimacyjna nie przyniosła rezultatu. Cała polska piłka pogrążyła się w żałobie. Każdy mecz trwającej kolejki w PKO Ekstraklasie i w niższych ligach został poprzedzony minutą ciszy.

Wiadomość o śmierci Jacka Magiery, z głębokim żalem przyjął prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Karol Nawrocki. Napisał: „Żegnaj, Polska Ci dziękuje" - dodając zdjęcie, na którym ściskają sobie dłonie.

Minister sportu i turystyki, Jakub Rutnicki przypomniał o zaangażowaniu zmarłego szkoleniowca w rozwój futbolu młodzieżowego:

„Z ogromnym smutkiem przyjąłem informację o śmierci Jacka Magiery. Wspaniały człowiek, świetny trener, mistrz Polski z Legią Warszawa, który z pasją rozwijał polską piłkę nożną – także w pracy z młodzieżowymi reprezentacjami. Wyrazy współczucia dla Rodziny i Bliskich".

Drugiego trenera reprezentacji kraju pożegnał Polski Związek Piłki Nożnej i jego prezes, Cezary Kulesza:

„Z wielkim smutkiem i niedowierzaniem przyjąłem informację o śmierci Jacka Magiery. Trudno znaleźć właściwe słowa w obliczu tak nagłej i zupełnie niespodziewanej straty. Jacek był wyjątkowym piłkarzem, świetnym trenerem, ale przede wszystkim bardzo dobrym człowiekiem, na którym zawsze można było polegać. Pragnę złożyć wyrazy współczucia rodzinie i bliskim. Jednocześnie apeluję do mediów oraz wszystkich komentujących o uszanowanie prywatności pogrążonej w żałobie rodziny".

„Z głębokim smutkiem dowiedzieliśmy się o śmierci asystenta trenera reprezentacji Polski, Jacka Magiery. Nasze myśli są z całą polską społecznością piłkarską, a także z Jego rodziną, przyjaciółmi i kolegami w tym trudnym czasie. Spoczywaj w pokoju, Jacku" - to wpis z oficjalnego profilu UEFA.

Swego szkoleniowca pożegnali również reprezentanci Polski. Kapitan drużyny narodowej Robert Lewandowski opublikował swoje zdjęcie z Magierą i dodał: „Trenerze, nie tak miało być. Wyrazy współczucia dla rodziny i najbliższych".

Bardzo osobisty wpis opublikował Sebastian Szymański, który rozwijał się pod okiem trenera Magiery nie tylko ostatnio w drużynie narodowej, ale także na znacznie wcześniejszym etapie, w Legii Warszawa:

„Serce pękło. Nie mogę dopuścić do siebie myśli, że już nigdy nie usiądziemy razem do rozmowy. Byłeś dla mnie kimś więcej niż trenerem, Jacek. Dałeś mi o wiele więcej, niż można oczekiwać od trenera. Nauczyłeś mnie rzeczy, o które nigdy bym nie poprosił, a które

Byłeś dla mnie kimś więcej niż trenerem, Jacek. Nauczyłeś mnie rzeczy, o które bym nie poprosił, a okazały się najważniejsze...

okazały się najważniejsze. Wszystko, co dziś osiągnąłem, zaczęło się od Ciebie. Pokazałeś mi drogę, którą mam podążać - nie tylko jako zawodnik, ale też jako człowiek. Każda minuta z Tobą była czymś wartościowym. Tyle rozmów, tyle pięknych chwil razem. Już mi tego brakuje. Spoczywaj w pokoju, Jacek" - napisał Szymański.

„Byłeś takim niesamowitym facetem, zawsze z uśmiechem. Będzie nam Ciebie bardzo brakować. RIP Legendo" - dodał Cash.

Legendarny bramkarz Jan Tomaszewski przyznał w rozmowie z „Super Expressem", że widział Magierę jako przyszłego selekcjonera reprezentacji i to już jako następcę obecnego trenera kadry.

Zmarłego pożegnały kluby PKO Ekstraklasy i niższych lig. W żałobie są Legia Warszawa i Śląsk Wrocław, które Magiera prowadził. Kluby opublikowały kondolencje na swoich profilach w mediach społecznościowych. Piłkarze obu zespołów wyszli na mecze w specjalnych strojach, a fani Legii domagają się, aby Akademia klubu została nazwana imieniem zmarłej w piątek legendy... ©℗

eprasa.pl 1f08a8ac7c

Olimpijskie faux pas. Sportowcy z kasą i tokenami

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Wszyscy polscy medaliści i ich trenerzy oraz zawodnicy, którzy zajęli miejsca 4-8 na XXV Zimowych Igrzyskach Olimpijskich otrzymali nagrody finansowe i rzeczowe na Gali Olimpijskiej.

- Wypłaciliśmy najwyższe w historii nagrody. Są już na kontach - potwierdził prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, Radosław Piesiewicz.

Wysokość nagród w gotówce dla medalistów Kacpra Tomasiaka, Pawła Wąska i Władimira Semirunnija oraz ich trenerów - Macieja Maciusiaka i Rolanda Cieślaka to kwota 1 650 000 złotych.

Do tego doszły tokeny TMPL na łączną wartość 1 100 000 złotych oraz cenne nagrody rzeczowe. Wśród nich były diamenty, vouchery wakacyjne, biżuteria i obrazy.

Nagrodę specjalną dla multimedalisty Kacpra Tomasiaka, w postaci mieszkania w inwestycji Miasto Polskich Mistrzów Olimpijskich, ufundowała firma Profbud.

Sportowcy, którzy wywalczyli miejsca 4-8 dostali tokeny TMPL o łącznej wartości 280 000 złotych.

Wydarzeniu towarzyszył pokaz na telebimie filmów z igrzysk we Włoszech, w tym te fragmenty, które przypominały wywalczenie medali przez polskich sportowców.

- Przed igrzyskami mówiłem, że liczę na trzy medale. Niektórzy się z tego śmiali. Skończyło się na czterech. Zabrakło jednego - hymnu - przyznał w trakcie uroczystości prezes Piesiewicz. Dodał, że minister sportu i turystyki Jakub Rutnicki dostał zaproszenie na Galę, ale w ogóle na nie nie odpowiedział.

Przypomniano, że igrzyska w Mediolanie i Cortinie D'Ampezzo po imprezach w Soczi (2014) i Vancouver (2010) były trzecimi najlepszymi w historii startów polskich olimpijczyków. Biało-Czerwoni w klasyfikacji medalowej zajęli 21. miejsce. W rankingu punktowym (55) uplasowali się o trzy pozycje wyżej. Zapunktowali w ośmiu z 16 dyscyplin.

Największe brawa z sali otrzymał multimedalista olimpijski - Kacper Tomasiak.



FOT. PAP/PIOTR NOWAK

Uczestnicy Gali Olimpijskiej podsumowującej XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie

- Po pierwszym zdobytym medalu już się nie stresowałem przed skokami. Nie było już dla mnie żadnej różnicy. To nie było już nowe doświadczenie - przyznał skoczek narciarski.

W trakcie gali doszło niestety do kuriozalnej wpadki. Na czeku opiewającym na 300 000 złotych, który prezes PKOl - Radosław Piesiewicz przekazał skoczkowi, znalazł się błąd. Zamiast „Tomasiak" widniało... „Tomasik"...

Kiedy szef PKOl zorientował się w sytuacji, czek został błyskawicznie odwrócony na drugą stronę. Co ciekawe, tam nazwisko młodego zawodnika zapisane było już poprawnie.

Szef sztabu polskich skoczków narciarskich - Maciej Maciusiak potwierdził, że jedną z najtrudniejszych decyzji w życiu musiał podjąć tuż przed igrzyskami. - Do kadry aspirowało 6-7 zawodników. A mieliśmy trzy miejsca. Liczyłem na jeden medal - przyporządkowałem. Z kolei Władimir Siemirunnij potwierdził, że „Polska jest jego domem". - Chciałbym podziękować wszystkim, którzy we mnie wierzyli - powiedział łyżwiarz.

Pochodzący z Jekaterynburga na Uralu zawodnik dostał od attache polskiej reprezentacji olimpijskiej - Czesława Langa profesjonalny rower. Sam obdarowany przyznał, że wykorzysta go w trakcie treningów.

Jego trener Roland Cieślak nie ukrywał, że z powodu braku możliwości startu na 5000 metrów i niemal pewnego miejsca na podium powstał niedosyt. - Przepisy są takie, a nie inne - wyjaśnił.

Reprezentanci Polski w XXV Zimowych Igrzyskach Olimpijskich we Włoszech wywalczyli cztery medale - 3 srebrne i 1 brązowy.

Aż trzy razy stanął na podium 19-letni Tomasiak - najmłodszy polski medalista zimowych igrzysk w historii. Zdobył srebro na normalnej skoczni, brąz na dużej oraz srebro z Pawłem Wąskiem w konkursie duetów. Wicemistrzem olimpijskim na 10 000 metrów został panczenista Semirunnij.

©℗

Popis Gamrota w UFC 327 w Miami. Udany debiut Oktagonu na polskiej ziemi

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Mateusz Gamrot wrócił na zwycięską ścieżkę podczas gali UFC 327 w Miami na Florydzie. Organizacja Oktagon zaliczyła emocjonujący polski debiut galą Oktagon 86 w Szczecinie.

Polski „lekki" Mateusz Gamrot (26-4) zdominował i poddał Argentyńczyka Estebana Ribovicsa (15-3) w drugiej rundzie walki na karcie wstępnej gali UFC 327 w arenie Kaseya Center w Miami.

Gamrot ostatnią walkę w październiku 2025 roku w Brazylii z byłym mistrzem świata Charlesem Oliveirą przegrał w drugiej rundzie przez poddanie. Tym samym oddaliła się „Gamerowi" wymarzona walka o tytuł wagi lekkiej amerykańskiej organizacji UFC.

Pojedynek z Argentyńczykiem Estebanem Ribovcsem miał pomóc 35-latkowi w powrocie na zwycięską ścieżkę. Notowany na ósmym miejscu Polak miał pokazać w starciu z zawodnikiem spoza Top 15, że porażka z Oliveirą była tylko wypadkiem przy pracy.

Od początku Mariusz zaatakował więc przeciwnika, punktując prostymi. Ribovcs odgryzał się lowkingami, ale Gamrot szybko dopadł rywala i przeniósł walkę do parteru. Argentyńczyk oddał plecy, dzięki czemu Polak umiejętnie go obijał. Gdy „El Gringo" starał się powstać, Mateusz skontrował rywala i znowu go osłabiał. Udaną rundę zakończył dwoma łokciami na korpus.

Drugą odsłonę Ribovcs rozpoczął od kopnięć, ale „Gamer" szybko przeszedł do ofensywy i ponownie obalił Argentyńczyka. „El Gringo" próbował przejść do stójki, ale kapitalnie dysponowany były podwójny mistrz KSW zakręcił przeciwnikiem i nie dał mu wstać. Ponownie ułożył Estebana na macie i powtórzył scenariusz z pierwszej rundy. Po kilku ciosach i łokciach udało się Polakowi zapiąć trójkąt i zaciśnięty Ribovcs odklepał porażkę.

Po ogłoszeniu werdyktu i opuszczeniu klatki Gamrot skomentował swoje efektowne zwycięstwo:

– Czuję się wspaniale. Kolejny gość spoza rankingu, a ja znów pokazuję różnicę. Nikt nie jest w stanie mnie zatrzymać. Jeśli mam za sobą pełen obóz – nikt mnie nie powstrzyma. Szanuję Diego Lopesa, ale jeśli chce przejść do kategorii lekkiej, to jestem tu. Jedziemy, jedziemy ku...a! – nie gryzł się w język rozemocjonowany „Gamer".



FOT. OKTAGON

Czeska organizacja mieszanych sztuk walki Oktagon zaliczyła w Szczecinie udany debiut na polskiej ziemi

Szkoda tylko, że walka Polaka odbyła się w karcie wstępnej i nie obejrzał jej gość specjalny gali w Miami – prezydent USA Donald Trump, który pojawił się w Kaseya Center na ostatni akord eventu UFC 327: Prochazka vs. Ulberg.

W walce wieczoru Nowozelandczyk Carlos Ulberg (14-1) w dramatycznych okolicznościach znokautował w pierwszej rundzie szalonego Czecha Jiriego Prochazkę (32-6-1), sięgając po tytuł mistrzowski wagi półciężkiej.

Tym samym Ulberg wyśrubował serię swoich zwycięstw do dziesięciu. Dla Prochazki była to trzecia kolejna nieudana próba odzyskania pasa 205 funtów.

Czesko-słowacka organizacja MMA - Oktagon zadebiutowała na polskiej ziemi sobotnią galą Oktagon 86 w Szczecinie i był to udany początek.

W walce wieczoru polska ikona sportów walki, Michał Materla, pokonał Niemca Christiana Jungwirtha w limicie umownym 89 kg (196 funtów) jednogłośną decyzją sędziów w pierwszym w historii organizacji pojedynku na zasadach „STAND and BANG".

Przed ostatnią rundą wszystko było jeszcze możliwe, ponieważ obaj zawodnicy mieli swoje mocne momenty, jednak mocny knockdown w wykonaniu Materli w ostatniej odsłonie przesądził o jego zwycięstwie. Obaj wojownicy okazali sobie wielki szacunek po wspólnej walce na dystansie pięciu rund, a Materla mógł świętować zwycięski powrót przed własnymi fanami.

W co-main evencie Alexander Poppeck (21-5, 1NC) odniósł największe zwycięstwo w swojej karierze, pokonując na punkty Tomasza Narkuna (21-7) w pojedynku w wadze półciężkiej nazwanym „Bitwą o Szczecin". „Ironside" miał przewagę w stójce i skutecznie bronił się przed próbami przeniesienia walki do parteru przez Narkuna, dzięki czemu jednogłośnie wygrał na kartach punktowych. Poppeck umocnił swoją pozycję w czołówce dywizji półciężkiej i jest o krok od walki o pas.

©℗

WYNIKI OKTAGONU 86:

karta główna
walka wieczoru wg zasady „STAND and BANG"
limit umowny (89 kg/196 funtów): Michał Materla pokonał Christiana Jungwirtha przez jednogłośną decyzję (49-45, 48-46, 48-46)
co-main event
„Bitwa o Szczecin"
waga półciężka: Alexander Poppeck (21-5, 1NC) pokonał Tomasza Narkuna (21-7) przez jednogłośną decyzję (29-28, 29-28, 29-28)
waga półśrednia: Amiran Gogoladze (18-3) pokonał Iona Surdu (17-8) przez nokaut (ciosy) w 2:34 pierwszej rundy
limit umowny (88kg/194 funty): Mateusz Janur (12-6) pokonał Robina Roosa (8-7) przez jednogłośną decyzję (30-27, 30-27, 30-27)
waga ciężka: Michał Piwowarski (8-4) pokonał Timo Feuchta (8-2) przez TKO (ciosy) w 3:57 drugiej rundy
waga piórkowa: Henrique Madureira (10-7) pokonał Jonatana Kujawę (5-3) przez jednogłośną decyzję (30-26, 30-26, 29-28)
karta wstępna
waga lekka: Jan Stanovsky (8-2) pokonał Łukasza Rajewskiego (13-11, 1NC) przez TKO (łokcie) w 4:16 drugiej rundy
waga średnia: Kacper Frątczak (3-0) pokonał Zorana Solaję (3-5) przez TKO (ciosy) w 2:39 trzeciej rundy
waga półśrednia: Natan Niewiadomski (3-0) pokonał Patricka Spirka (5-4) przez poddanie (duszenie zza pleców) w 3:08 pierwszej rundy
waga kogucia: Lukáš Chotěnovský (8-3) pokonał Michała Hawro (7-3) przez poddanie (duszenie zza pleców) w 4:14 trzeciej rundy
limit umowny (59kg/130 funtów): Niamh Kinehan (2-0) pokonała Emilię Czerwińską (3-2) przez TKO (ciosy) w 4:48 trzeciej rundy

eprasa.pl 1f08a8ac7c

Debiut Igi z nowym trenerem

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Iga Świątek szykuje się w Stuttgarcie do rozpoczynającego się w poniedziałek, pierwszego w tym sezonie, turnieju na kortach ziemnych. Polka poznała pierwszą rywalkę.



FOT. JAKUB PIKULIK

Iga Świątek turniej w Stuttgarcie rozpocznie od 2. rundy. Jej pierwszą rywalką może być Magdalena Fręch

Sześciokrotna wielkoszlemowa mistrzyni rywalizację u naszych zachodnich sąsiadów rozpocznie w 2. rundzie od pojedynku ze zwyciężczynią meczu pomiędzy Magdaleną Fręch i Laurą Siegemund. Świątek pierwszy mecz w Stuttgarcie zagra w środę lub czwartek. Zajmująca aktualnie czwarte miejsce w rankingu WTA raszynianka w pierwszej rundzie otrzymała wolny los.

Świątek wygrywała halowy turniej na mączce w Stuttgarcie w latach 2022 i 2023. 24-letnia Raszynianka w dwóch ostatnich edycjach niemieckiego turnieju przegrywała z późniejszymi triumfatorkami - w 2024 roku w półfinale z Jeleną Rybakiną, a w zeszłym sezonie w ćwierćfinale z Jeleną Ostapenko. Łotyszka znalazła się na liście zawodniczek także w tym roku.

Obsada turnieju w Stuttgarcie jak co roku jest bardzo mocna. W Niemczech wystąpią m.in. Rybakina, Coco Gauff, Jasmine Paolini, Elina Switolina, która zagrała przeciwko Polsce z reprezentacją Ukrainy w Gliwicach w Billie Jean King Cup oraz broniąca tytułu. Z powodu kontuzji, z turnieju wycofała się liderka światowego rankingu Aryna Sabalenka. Nieobecność Białorusinki spowodowała, że w głównej drabince - bez konieczności gry w eliminacjach znalazła się Magdalena Fręch, która w pierwszej rundzie zagra z reprezentantką gospodarzy.

Zwyciężczyni całych zawodów otrzyma sportowy samochód. W tym roku będzie to Porsche 911 Carrera S Cabriolet wart ok. 850 tys. zł. Pula nagród w WTA 500 - „Porsche Tennis Grand Prix" wynosi 1 206 446 dolarów.

Przed przyjazdem do Stuttgartu, Świątek trenowała na Majorce w Akademii Rafaela Nadala już z nowym trenerem, Hiszpanem Francisco Roigiem, który zastąpił zwolnionego przez Polkę Belga Wima Fissette'a. Zmiana trenera była pokłosiem słabszej formy Świątek, jaką prezentuje od początku tego sezonu. Po raz pierwszy od sześciu lat nie dotarła do półfinału żadnej imprezy, a drugi rok z rzędu nie wygrała turnieju w trzech pierwszych miesiącach. Jej dorobek z czterech startów to trzy ćwierćfinały, spadła też w światowym rankingu z drugiego na czwarte miejsce.

58-letni Hiszpan przez 17 lat był w sztabie Nadala, który wywalczył 22 tytuły wielkoszlemowe. Nowy trener ma za zadanie pomóc polskiej tenisistce przede wszystkim odbudować pewność siebie. Świątek trenowała na Majorce nie tylko pod okiem nowego szkoleniowca, ale również byłego tenisisty - Rafy. Hiszpan, który był idolem Świątek, brał udział w zajęciach i dzielił się wskazówkami.

- Współpraca z trenerem Roigiem może otworzyć Idze możliwości do dalszego rozwoju. Nie jest tajemnicą, że lubiła się wzorować na grze Nadala, nawet wtedy, gdy była jeszcze nastolatką. Gra Hiszpana zawsze ją inspirowała. Roig przez wiele lat był w jego bliskim otoczeniu, dlatego na pewno może być dla Igi dużą wartością dodaną. Może właśnie Iga chce teraz poznać inny model pracy. Patrząc z drugiej strony, to może być też szansa dla samego trenera, bo z tak wybitną kobietą w świecie tenisa jeszcze nie pracował - mówi w rozmowie z Polska Press Michał Kaznowski, drugi trener Igi Świątek w latach 2010-2015.

Celem na najbliższe tygodnie dla Świątek będzie wygranie rozpoczynającego się 24 maja French Open. Świątek w Paryżu zwyciężała cztery razy, w 2020 roku oraz w latach 2022-24.

©℗

Świątek zignorowała kadrę i Polki bez szans w BJKC

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Polki nie udźwignęły ciężaru meczu, którego stawką był występ w finałach Billie Jean King Cup, ponosząc druzgocącą porażkę z Ukrainkami 0:4 w PreZero Arenie w Gliwicach.

Reprezentacja Polski w rywalizacji z Ukrainą o wrześniowe finały Billie Jean King Cup w Shenzhen była na straconej pozycji już na starcie. Konkretnie w momencie, gdy okazało, że najlepsza nasza rakieta Iga Świątek odmówiła występu w Gliwicach. I zamiast obrony barw narodowych wybrała przygotowania do turnieju WTA 500 Porsche Tennis Grand Prix w Stuttgarcie, gdzie poza sowitą nagrodą pieniężną do wygrania jest najnowszy model szykownego auta.

Ukrainki w przeciwieństwie do Biało-Czerwonych, które w najważniejszym w roku meczu reprezentacji poza naszą pierwszą rakietą nie wystawiły także drugiej Magdaleny Fręch, zagrały w najsilniejszym składzie, z siódmą w światowym rankingu Eliną Switoliną oraz dwudziestą siódmą Martą Kostiuk. Także debel naszych przeciwniczek w osobach sióstr Kiczenok - Ludmyły i Nadii był zdecydowanie wyżej notowany od polskiej pary Maja Chwalińska - Martyna Kubka.

Honoru Polski w Gliwicach przy pustych trybunach 15-tysięcznej areny przyszło bronić Magdzie Linette i Katarzynie Kawie oraz wspomnianym Chwalińskiej i Kubce, a także naturalizowanej Czeszce Lindzie Klimovicovej. I trzeba przyznać, że na tle piekielnie mocnych Ukrainek Biało-Czerwone wyglądały mizernie.

Podopieczne kapitana Dawida Celta nawet nie zbliżyły się do urwania choćby punktu Niebiesko-Żółtym.

Na początek, w piątek, Magda Linette gładko przegrała 4:6, 0:6 z Martą Kostiuk, a Katarzyna Kawa - 2:6, 1:6 z Eliną Switoliną. Oznaczało to, że sobotnie spotkanie deblistek będzie starciem o wszystko.

Chwalińska i Kubka walczyły dzielnie, ale po ponad trzech godzinach uległy 5:7, 7:6 (7-4), 3:6 siostrom Kiczenok. - Zabrakło nam trochę szczęścia, ale też doświadczenia - nie kryła Kubka.

– Dobrze pamiętamy nasze poprzednie spotkanie z tymi przeciwniczkami w Radomiu. To dla nas kolejna cenna lekcja, bo nie rozegrałyśmy tylu meczów w największych turniejach co rywalki - dodała Chwalińska.

Ostatni pojedynek nie miał już znaczenia. Linda Klimovicova nie poradziła sobie z Ołeksandrą Olijnykową 4:6, 1:6 i Polki przegrały do zera.

Porażka tenisistek z Ukrainą oznacza nie tylko brak awansu do turnieju finałowego Billie Jean King Cup, ale także konieczność gry w barażach o utrzymanie. Jak przed rokiem, Biało-Czerwone będą musiały w listopadzie bronić się przed spadkiem z Grupy Światowej I. Przeciwniczki nie są jeszcze znane, podobnie jak miejsce rozegrania meczu. Losowanie zaplanowano na 23 kwietnia.

BJKC RUNDA KWALIFIKACYJNA

Włochy - Japonia 3:1
Belgia - USA 3:1
Australia - Wielka Brytania 1:3
Kazachstan - Kanada 3:1
Słowenia - Hiszpania 1:3
Szwajcaria - Czechy 2:3
Polska - Ukraina 0:4
(Magda Linette - Marta Kostiuk 4:6, 0:6, Katarzyna Kawa - Elina Switolina 2:6, 1:6, Maja Chwalińska/Martyna Kubka - Ludmyła Kiczenok/Nadia Kiczenok 5:7, 7:6(4), 3:6, Linda Klimovicova - Ołeksandra Oliynykowa 4:6, 1:6)

©℗



FOT. PAP/JAREK PRASZKIEWICZ

Ukrainki Nadia Kiczenok i Ludmyła Kiczenok oraz Polki Maja Chwalińska i Martyna Kubka przed deblem BJKC

Coraz szybciej - w aucie i na bieżni. Plaża nie dla naszych

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Mikołaj Marczyk z pilotem Szymonem Gospodarczykiem (Skoda Fabia RS Rally2) wygrali 27. edycję hiszpańskiego Rajdu La Llana w kategorii aut Rally2.



FOT. ADAM JANKOWSKI/POLSKA PRESS

Mikołaj „Miko" Marczyk to aktualny mistrz Europy

Rallye La Llanay - jedna z rund asfaltowych mistrzostw Hiszpanii - to start przygotowujący aktualnych mistrzów Starego Kontynentu do inauguracji sezonu rajdowych mistrzostw Europy.

Hiszpański rajd składał się z dziesięciu odcinków specjalnych o łącznej długości blisko 108 km. Polacy triumfowali z przewagą ponad minuty nad drugą załogą.

- Kończymy Rajd La Llana jako najszybsza załoga w kategorii Rally2 - powiedział Mikołaj Marczyk. - To było dla nas bardzo dobre przetarcie przed Rajdem Sierra Morena. Oczywiście oba te rajdy nie są dokładnie takie same, więc nie skupialiśmy się na samych ustawieniach auta, a na dobrym wyczuciu samochodu i zgraniu zespołu. O poranku prezentowaliśmy bardzo mocne tempo, później kontrolowaliśmy sytuację. Jestem bardzo zadowolony z minionego weekendu.

Rajd Sierra Morena zainauguruje 17 kwietnia sezon rajdowych mistrzostw Europy.

Szybciej od Bolta

Mateusz Kaczor (RLTL GGG Radom) i Izabela Paszkiewicz (AZS UMCS Lublin) zdobyli w Łodzi złote medale mistrzostw Polski w maratonie.

Podczas lekkoatletycznych mistrzostw Australii , które odbyły się w Sydney, 18-letni sprinter Gout Gout uzyskał czas 19.67 i wygrał bieg na dystansie 200 metrów. Tym samym został pierwszym reprezentantem swojego kraju, który złamał barierę 20 sekund na tym dystansie.

Gout pobił nie tylko swój rekord Australii, który wcześniej wynosił 20.02, ale także rekord świata w kategorii do lat 20, należący od 2022 roku do Amerykanina Erriyona Knightona - 19.69.

Na brazylijskim piasku

W ćwierćfinale turnieju Beach Pro Tour najwyższej rangi Elite 16, którego gospodarzem była brazylijska miejscowość Saquarema, nasi siatkarze plażowi - Michał Bryl i Bartosz Łosiak przegrali z Norwegami Andersem Molem i Christianem Soerumem 0:2 (14:21, 18:21).

Polacy jeszcze nigdy nie wygrali z Norwegami, mistrzami olimpijskimi z Tokio.

Michał Bryl i Bartosz Łosiak - brązowi medaliści mistrzostw świata z 2023 roku, w pierwszej imprezie międzynarodowej w tym sezonie do ćwierćfinału nie ponieśli porażki.

W fazie grupowej odnieśli komplet zwycięstw, a w 1/8 finału pokonali Szwajcarów Marco Krattigera i Leo Dilliera w dwóch setach (21:9, 21:13).

©℗

eprasa.pl 1f08a8ac7c

MAGAZYN

SPORTOWY TYDZIEŃ

Polska piłka nożna od minionego piątku jest pogrążona w żałobie. W wieku zaledwie 49 lat zmarł nagle trener Jacek Magiera



Jacek Magiera
1977-2026

FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Będzie nam brakowało Twego spokoju, opanowania i pasji. Pożegnanie „Magica”
STR. 21

„Żegnaj, Polska Ci dziękuje” - napisał prezydent RP Karol Nawrocki
STR. 21

IGA ŚWIĄTEK RUSZA NA KORTY ZIEMNE. JUŻ Z NOWYM TRENEREM
STR. 23

eprasa.pl 1f08a8ac7c